Nr. 38. Warszawa, dnia 5 (17) Września 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

FILOZOFIA NAUKI SPOŁECZNE NAUKI PRZYRODNICZE HISTORYA JĘZYKOZNAWSTWO SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

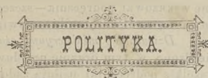
Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy. kwartalnie rs 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym Abonentom przypominamy nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty.



POLITYKA.

„PRZYMIERZE."

Jeden z dzienników londyńskich, mniejszego kalibru, rozniósł po świecie przed dwoma tygodniami wiadomość o porozumieniu się Niemiec z Anglią na gruncie afrykańskim. Znaleźli się zaraz w dziennikarstwie ludzie o krótszych rozumach a dłuższych językach, którzy na miejsce Afryki, tamecznych spraw i praw kolonialnych, podstawili wszystkie części świata, z polityki kolonialnej zrobili powszechną, a porozumienie się wydęli w przymierze — mało tego: w przymierze zaczepno - odporne. Poważna reporterya polityczna obu stron nie zaniedbała w krótkim czasie wyjaśnić, że porozumiano się o zatokę Delagoa, należącą do Portugalii. Zabierze ją Anglia wraz z koleją, budowaną wyłącznie siłami luzytańskiemi od lat już wielu, wśród przygód i wypoczynków wielu. Niemcy dostaną Mozambik; Portugalia za swą kolonię, jedną z najdawniejszych w świecie nowożytnym, bo trzymaną już od końca XV wieku, weźmie kilka, a nawet dziesięć milionów f. szt.; wierzyciele portugalscy wreszcie doczekają się realizacyi kuponów, która była już dla nich istną łamigłówką.

W takich granicach, z taką treścią, porozumienie pomiędzy Niemcami a Anglią, nie będąc przymierzem, stanowiłoby przecież dowód usposobienia, mogącego w razie potrzeby obie strony do sprzymierzenia się — na gruncie afrykańskim — doprowadzić. W takich też granicach i w takiej treści można je śmiało za rzeczywiste już uważać, zwłaszcza po stwierdzeniu jego rzeczywistości przez Chamberlaina, podróżującego teraz po Ameryce; trzeba się tylko strzedz wszelkich rozciągających wyjaśnień i domysłów. Gdy, naprzykład, jeden z dzienników amerykańskich zapewnia, że przymierze zaczepno-odporne obowiązuje Anglię do uznania na wieczne czasy zaboru Alzacyi i Lotaryngii przez Niemców, a Niemcy do uważania Anglików za prawych posiadaczy Egiptu — jest to albo naiwne pragnienie, albo czcze zmyslenie, albo też niedołężne powtarzanie tego, co się gdzieś z powietrza pochwyciło. W każdym razie stosunki między wnukiem a babką, między największem mocarstwem lądowem trzonu Europy, a największem mocarstwem morskiem świata całego— od kilku lat raczej naprężone, niż przyjazne, nagle objawiły się wzajemnem do siebie łgnieniem potwora na lądzie i lewiatana w morzu. O tem wątpić nie można. Lubiący niezmiernie demonstrować swe myśli, uczucia i wrażenia, ces. Wilhelm nie byłby zwycięztwa angielskiego pod Omdurmahem uświetnił umyślnem nabożeństwem i umyślnem przemówieniem na placu Waterloo w Hanowerze d. 4 b. m., gdyby w stosunkach z Anglią nie nastał nagle zwrot, rozpoczynający się umową o Delagoa i Mozambik.

Wiele za tem przemawia, że ciągle i coraz głębiej rysujące się przeciwieństwa i sprzeczności egoizmu politycznego między Anglią a Francyą, a zasadnicza nieprzyjaźń między Francyą a Niemcami w krótkim już czasie popchną oba mocarstwa, występujące w akcie nowej umowy do zupełnego sprzymierzenia się kolonialnego: oba iść będą razem, razem zabierać i razem bronić. Powołaniem takiego przymierza byłoby uzupełnienie się współdziałaniem Ameryki. Wiadomo, że Stany Zjednoczone, w przewidywaniu energiczniejszego ujęcia się za napadniętą w imię praw ludzkości i przywiązania do Kuby Hiszpanią, przed wojną jeszcze zapewniły sobie pobłażliwość i nawet życzliwą postawę Anglii. Jeden z czynnych polityków angielskich nie zawahał się nawet wygłosić *speechu* o dwóch pokrewnych „rasach," o dwu państwach jednej wspólnej rasy, które przeznaczone są do odegrania wspólnej jeszcze w świecie roli — oczywiście dla dobra cywilizacyi, bo na jej szkodę nigdy się nic nie robi, nigdy o niczem się nie myśli. W kongresie waszyngtońskim, w izbach prawodawczych pojedynczych stanów, nie braknie umysłów, pragnących miłości za pozwoleniem egoizmu, który tem chętniej dać je może, że istotnie interesy jednej strony w obecnej dobie dziejów nie zaczepiają o interesy drugiej.

Chamberlain wcale takiej miłości wyrzekać się nie myśli. Pobyt w Ameryce pobudził go nawet do pierwszego miłosnego bileciku. Anglia — zdaniem jego — wobec propozycyi rozzbrojenia się ma położenie wielce zbliżone do zajmowanego przez Amerykę: jedna musi nad Nilem ukracać bunt, druga po wojnie pilnować jej zdobyczy; żadna nie może się rozzbroić. Anglia stale powiększać będzie swą flotę. Jeżeli kto, to Rosya — mówił angielski minister kolonij — może dać innym dobry przykład przez zmniejszenie potężnej swej armii i wyrzeczenie się polityki zaczepnej. Rozpostarcie się władzy, a choćby tylko nadzoru amerykańskiego, na Filipiny odbije się najpierw na samym wyspozbiorze pomyślnością, a na oceanie Spokojnym opanowaniem go zupełnem przez flagę amerykańską. Przez Filipiny Stany Zjednoczone dostaną się do kwestyi chińskiej, która przecież bez nich rozwiązaną być nie może, zwłaszcza teraz,

gdy się stają mocarstwem, umiejącem już nieść zniszczenie, zwyciężać, bić i podbijać. Chamberlain nie wie, czy Ameryka odczuwa wspólność interesów amerykańskich z angielskimi w Chinach, ale to wie, że ma ważne zadania na oceanie Spokojnym i że Europa słusznie obawia się przymierza amerykańsko-angielskiego.—Ponieważ sam pobyt w New-Yorku sprzyja wymianie myśli przymierzowych, a logika uważa ją za nakazaną — nie trzeba lekceważyć tych krasomówczych dziś tylko, lub dziennikarskich, objawów: gdzie jest prąd, tam znajdzie się i potok i fala. Wtedy Anglia, Ameryka i Niemcy wytworzyłyby nowy kierunek w polityce europejskiej, zajętej rozbiorem Chin.

Tydzień polityczny. D. 10 b. m. anarchista włoski Luccheni, zamordował w Genewie w biały dzień cesarzową austryacką Elżbietę. Nieludzki czyn wywołał oburzenie ludzkości, złączone z gniewem politycznym na Szwajcaryę i żądaniami ukrócenia anarchizmu w całej Europie. Przewidywać można wystąpienie dyplomacyi. Socyaliści wypierają się wspólnictwa z kierunkiem takich Lucchenich. W Genewie i Lozannie uwięziono 13 osób. Prawo kantonu nie zna kary śmierci.

Na Krecie w przeszłym tygodniu Anglicy w Kandyi, ściągając dziesięcinę z ludności muzułmańskiej, wywołali rzeź i pożogę. Rozjuszeni Turcy rzucili się na Anglików, w pień wycięli cały jeden oddział, przerzedzili drugi i wyrznęli około 300 chrześcian. Okręty angielskie zbombardowały miasto, zajęte zupełnie przez Turków. Z Włoch i z Malty przybyły posiłki. Tak się kończy słynna polityka „admirałów.“ Komisya europejska sama już proponuje gubernatorstwo ks. Jerzego, wywiezienie baszybozuków, zabranie wojsk tureckich z Krety. Zabranie urzędników nie byłoby potem już trudnem. Skończyłoby się więc na tem, od czego zacząć się było powinno.

Gen. Zurlinden nie może się odważyć na rewizyę procesu Dreyfusa i ustępuje. Sam Faure także nie czuje w sobie wielkiej odwagi. Brisson tylko z trzema kolegami obstaje. Nacisk opinii coraz większy. Ogłoszono akt oskarżenia Dreyfusa z r. 1894.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

EGZAMINY.

Kwestya szkolna, która nigdy u nas nie ustaje, dwa razy do roku zaogniа się mocno: przed wakacyami i po wakacyach, tj. podczas egzaminów przejściowych, wstępnych i wszelkich poprawek. W tych właśnie okresach gorączkowych najwyraźniej występują na jaw rozmaite braki i błędy systemów szkolnych i pedagogicznych, które następnie wyciskają swoje zgubne piętno na zdrowiu i losach młodzieży. W rozporządzeniach ministeryum oświaty, jak to zaznaczyły niedawno *St. Pet. Wied.*, tkwi zawsze jedna myśl: w wykształceniu szkolnem ważne znaczenie ma nie proste przyswajanie przedmiotów drogą pamięci, lecz zdobycie tej wiedzy, która jako owoc stałej pilności, jest rzeczywiście cennym skarbem umysłowym uczniów. Pomimo jednak tej myśli przewodniej, praktyka wykazuje wręcz co innego. Niedawno *Warszawskij Dniewn.* poruszył tę sprawę i ujawnił najwidoczniejsze i najcięższe błędy w całym systemie egzaminacyjnym *). Wogóle powszechna opinia ludzi światłych i doświadczonych uderza swą zgodnością potępiania metod dotychczasowych. Opinia ta uważa egzaminy, zwłaszcza przejściowe, za całkiem zbyteczne. Przytem położenie zarówno uczniów, jak i nauczycieli, jest okropne. Mózg pedagoga gniecie program obowiązkowy, który trzeba w praktyce przeprowadzić całkowicie. Po za tem dręczy nauczyciela nieunikniona rewizya w końcu roku, która musi zbadać, o ile program wykonano. Cóż on ma poradzić? — Musi nietylko ściśle się pilnować owego programu, lecz uczniów zamienić na dokładne maszyny mówiące.

Co to jest *program* — wybornie określa autor artykułu w *Warsz. Dn.*: „Cały kurs gimnazyalny, wszystkie przedmioty wykładane stanowią pewną ściśle oznaczoną miarę wiadomości, podzieloną na cząstki, stosownie do liczby klas. Czy odpowiada ta miara lub jej cząstka siłom i rozwojowi umysłowemu młodzieży, nauczyciel nie może w to wnikać. Musi wypełnić program, tj. przejść kurs danej klasy, nie bacząc na siły i zdolności uczniów. Ma on do rozporządzenia dwójki i jedności, za których pomocą klasyfikuje uczniów na zdatnych lub niezdatnych do egzaminu, ale z takiem obliczeniem, aby liczba niezdatnych nie przekraczała $^1/_3$ w stosunku do ogółu uczniów w całej klasie. W przeciwnym razie narażony będzie na wielkie nieprzyjemności ze strony swej władzy najbliższej.“ Ale wymagania programu wywołują nietylko „dwójki“ i „jedności.“ Zmuszają one nadto uczniów do pracy natężonej, całkowicie wyczerpującej siły. Tylko taką drogą można „z powodzeniem“ przejść program.

Jakąż rolę w tym całym systemie odgrywa nauczyciel? Czy może on wykazać jakąkolwiek samodzielność?—Nie. — Jest taką samą maszyną, jak uczeń, musi ściśle się trzymać programu i podręczników, nierozerwalnie połączonych. Program daje ogólne wskazówki, podręcznik—szczegóły. Czem zaś są owe podręczniki—mówią recenzye *Dziennika ministeryum oświaty*. Stwierdzono w tym organie urzędowym, że wszelkie podręczniki usiłują zadość uczynić wymaganiom programu urzędowo-

*) Artykuł p. t. „Egzaminy i rzemiosło wykładów.“

Janina Baudouin de Courtenay.

ISMAEL

(Kontur psychologiczny).

Odchodząc usłyszałem, że spiesznie się formują zakłady o to, czy się stawię, czy też nie stawię do swego salto mortale.

Po chwili stałem już w łodzi, w trykotowym kostiumie, jak pajac w cyrku. Lżej będzie w nim walczyć czas jakiś z falą, gdy łódź zatonie; trudniej za to, bo dłużej umierać!

Pełen tych „słodkich“ myśli, nie spostrzegając niby przyjaźnie „en bon camarade“ wyciągniętych ku mnie męzkich dłoni „na do widzenia naturalnie!“ — i wiewających „jak białe gołębie“ chusteczek, wszedłem do łodzi i miałem napiąć już żagiel, gdy razem z zimną kaskadą piany morskiej uczułem czyjeś ciepłe dotknięcie. Do łodzi wskoczył mój uczeń, dziecko dziesięcioletnie i objąwszy stan mój szczupłemi ramionami, zawołał z takim przestrachem i żalem, jakiego wcale nie spodziewałem się po tym chłopcu, mało w gruncie rzeczy mi znanym.

— Nie puszczaj się pan, na miłość boską, na to morze, to straszne, czarne morze! Utoniesz pan, utoniesz!

— Puść, moje dziecko kochane! — powiedziałem, dziwnie radośnie wstrząśnięty tym postępkiem, tak żeby on tylko mógł słyszeć. — Muszę tam iść, chociażbym miał nawet umrzeć. Dziękuję ci za serce. Żegnam cię, żegnam, kochany chłopcze!

A on uczepił się tak, jak się czepia ktoś swój, ktoś kochający kogoś bliskiego, żegnając się na zawsze i krzyczał, zalewając się łzami:

— Nie puszczę, nie chcę widzieć, jak pan utonie!

A przecież znalazło się serce, o które mi chodziło przed chwilą... Przycisnąłem do piersi to drżące stworzenie, które mi się wydało życiem, żegnającem mię na tym brzegu. Przycisnąłem do ust tę drobną rączkę, czepiającą się mojej szyi i przerzuciłem szybko płaczącego malca na ręce obcych mężczyzn. Ci, żartując, poczęli go uspakajać, a ja zerwałem łódź z łańcucha — i odrzuciła się ogromnym susem na ogromne fale.

Nie nadzieję, bo tej prawie nie miałem, lecz tylko uwagę całą, napiętą jak biały mój żagiel, zawiesiłem na wichrze. Na komendę tego władcy morza i mojej istoty zarazem, manewrowałem jak zręczny, błyskawicznie oryentujący się majtek, ślepo posłuszny groźnemu kapitanowi.

Boże! jakimi olbrzymimi skokami przesadziłem potworny szereg spiętrzonych wodnych garbów, który tam, z brzegu, zdawał się niemożliwym do przebycia... aby zapaść w bezbrzeżną a bezpowrotną przestrzeń otwartego morza. Wiatr znęcał się nad mą łodzią, to kopał ją w bok, ze złością, to jakby dla igraszki przetaczał ją przez wodną górę, jak konającego łabędzia. Nikły maszt zgrzytał i jęczał rozpaczliwie. W stronę otwartego morza, do tego kresu... bezkresowego, po czarno-sinych falach leciała z jękiem żałosnym skrzydlata łupina moja.

Minąłem wreszcie znaki umówione, zwyciężyłem jeszcze żyjący, a teraz... teraz wolno mi już myśleć o ratunku. Wracać do brzegu nie mogłem. Nie puściłby mię do niego huragan, co pchał mię coraz dalej i dalej. A więc dokąd mam dążyć? Chyba ku tym statkom, które z takim mozołem płyną do portu. Jeden z nich na prawo wydaje mi się nawet stosunkowo blizko. Pełznie po fali, jak stary żółw bezsilny, to znów jak niesforny delfin wyprawia dziwne jakieś skoki. Tymczasem łódź moja wytęża ku niemu orle skrzydła. Ile mi mocy starczy, kieruję na prawo, prosto i naprzód. Zwijam żagiel, przeciągły okrzyk raz po raz wzbija się z mej piersi falującej jak morze — i oto mię usłyszano, rzucono linę. Jestem na pokładzie. Wszystko wiruje wraz ze mną.

Po kilku dopiero godzinach, już o północy prawie, przekonałem się, że jestem w porcie wraz ze zbawcami moimi. Pełen pogardy i niechęci dla widzów mojej produkcyi, niesmaku i wstydu, wracałem wprost do swojego pokoju, okrywszy się grubym płaszczem marynarskim, pożyczonym u jednego z majtków. Lecz ku zdziwieniu memu raut poobiedni przeciągnął się aż do nocy. Nie przypuszczałem, aby kto z gości oczekiwał na mnie, a je-

go. „Ileż tam naiwności, ile wielkich omyłek dostrzegają krytycy!“ — woła autor artykułu powyżej cytowanego. A przecie są to owoce pracy nauczycieli. „Podręczniki te lepiej, niż wszelkie rewizye ujawniają braki w wykonaniu programu ministeryalnego, autorowie zaś wykazują się tam wyraźniej, niż na wszelkich egzaminach.“ Podobne braki dają się spostrzegać także w podręcznikach zatwierdzonych i wprowadzonych do użytku szkolnego. Tych jednak braków, niedokładności, błędów zasadniczych w sposobie wykładu, nie może sprostować i usunąć żaden nauczyciel. Musi on ściśle się trzymać książki zaleconej. Jeżeli kurs jej jest lekki i daje się przejść w ciągu roku, to wszelkie uzupełnienia uważane są za zbyteczne i obarczające. Jeżeli zaś jest ona dużych rozmiarów, to niema czasu myśleć o jakichkolwiek uzupełnieniach; dobrze gdy się da wtłoczyć uczniowi w głowę to, co tam się mieści, według przepisanej proporcyi. Wogóle system ten nie daje pola do samodzielności pedagoga. Natomiast dla umysłów leniwych, dla nauczycieli-automatów podręczniki takie są bardzo wygodne; to ich zbawienie. Maszyna-człowiek wchodzi na katedrę, wykłada ściśle według danego podręcznika i ma całkiem sumienie zaspokojone. Wypełnia swój obowiązek, zadość czyni programowi, automatyzm swój przelewa do głów młodocianych.

Wszystko to się robi dlatego, ażeby pomyślnie egzamin zbyć. „Uczeń powinien dobrze znać cały kurs. Jeżeli on odpowiada na bilet, przypadkowo wyciągnięty, to dowód, że jest obeznany z całym przedmiotem.“ Takie panuje przekonanie, na którem się opiera system egzaminów. Jaką zaś rolę odgrywa wypadkowa odpowiedź *wylosowana*, każdy z nas wie wybornie. Bilety owe uczniowie dzielą na szczęśliwe i nieszczęśliwe. Pierwsze — takie, które każą uczniowi mówić to, co on umie, drugie to te, które wymagają znajomości rzeczy wcale nieznanej. Wiadomo jest powszechnie, że bardzo wielu śmiałków lub próżniaków szczęśliwych zdaje egzamin świetnie, dzięki tylko temu, że im się udało wyuczyć kilku pytań, podczas gdy o całym kursie nie mieli najmniejszego pojęcia. I odwrotnie: mnóstwo jest nieszczęśliwych a pilnych, którym los kazał odpowiadać na kilka ostatnich pytań, nieutwierdzonych w umyśle, pomimo że kurs całkowity znali wybornie. Taka przypadkowość jest probierzem zdolności i umiejętności. System ten trwa lat dziesiątki, stosowany i uprawiany przez tych pedagogów, którzy sami niegdyś byli jego ofiarami, sami ocenili całą jego wartość.

Dlaczego jednak z zupełną rezygnacyą poddali się jemu? Niech nam odpowiedzą wymownie a wiernie skreślone słowa artykułu w *Warsz. Dniewn.*: Oto czego wymaga program od nauczyciela: „Powinien on w terminie określonym (w ciągu t. zw. roku szkolnego) wyłożyć pewną ilość wiadomości. Dano mu: program i podręcznik. Ani po za program, ani po za ten podręcznik wybiegać on nie może, pod grozą odpowiedzialności różnego stopnia, aż do utraty miejsca. I oto w ciągu roku szkolnego na każdej lekcyi pełni on rolę takiego egzaminatora, jakim w końcu roku jest jego władza. Rola bardzo określona i prosta. Jeszcze lepiej spełniają ową rolę nauczyciele-rzemieślnicy. I rzeczywiście — jaka jest różnica np. między tokarzem a nauczycielem? Tokarzowi dają rysunek i kawałek drzewa. Przy pomocy maszyny obrabia on ten kawałek drzewa według rysunku i tworzy pewną część mebla. Nauczycielowi dają podręcznik i program (rysunek tokarza) tudzież materyał żywy: uczniów w wieku przepisanym. Przy pomocy jedności i dwójek (maszyny tokarza) i innych sposobów pedagogicznych wbija on w głowy swych uczniów dany przedmiot według programu. A dalej — egzamin: przychodzą majstrowie i oceniają robotę czeladnika.“

W słowach tych niema przesady. Tego rodzaju system szkolny znamy wszyscy wybornie, a opinia publiczna dojrzała już do tego stopnia, że się domaga stanowczo reformy zasadniczej, która usunęłaby rzemiosło wykładu i przeciążanie młodzieży, doprowadzonej do zupełnego wyczerpania szczególnie na egzaminach przejściowych, a nawet i wstępnych.

Wogóle podczas egzaminów szkoła dzieli się na dwa obozy wrogie: z jednej strony występują nauczyciele, wyglądający jak egzekutorowie, z drugiej — młodzież wyczerpana i wystraszona, z nastrojem skazańców przed obliczem sądu. O zniesieniu tego strasznego, nieludzkiego stosunku i owych systemów wykładu według zardzewiałych a mocnych ramek programu — kołacze opinia publiczna. Wymaga tej reformy stanowczo, natarczywie i jednomyślnie prasa rosyjska; wreszcie pomyślny prąd w tej mierze dostrzegamy w sferach ministeryalnych. To wszystko daje nam nadzieję, że reforma ta pierwej czy później wejdzie w życie, wniesie pierwiastek zdrowia fizycznego i duchowego. Przedewszystkiem niezbędne i pilne są cztery zasadnicze warunki zmiany systemu dzisiejszego: 1) zreformowanie podręczników; 2) nadanie nauczycielom większej samodzielności, zapobiegającej automatyzmowi i rzemieślniczemu traktowaniu tak ważnego zadania; 3) przesianie rzesz nauczycielskich przez gęste sito wymagań, tj. usunięcie zupełne niezdolnych i niezdatnych w tej dziedzinie, szczególnie podczas egzaminów, i wresz-

---

dnak tak było. Na werendzie, przez którą przejść musiałem, stała jeszcze, szczupła co prawda, grupa młodzieży i usłyszałem zmieszane jakby sprzeczające się głosy. Przystanąłem niezdecydowany, co robić, bo ukazywać się gawiedzi tej nie miałem wcale ochoty.

— Ależ, proszę pani, czekać tu dłużej byłoby nierozsądnie! Niestety, gdyby miał wrócić wprost do domu, jużby był wrócił oddawna! — mówił jakiś głos męzki. — Może się schronił na statek lub przybił do brzegu gdzieś dalej, a w najgorszym razie... zapewne... szkoda go, ale...

— Jakto? Więc nic a nic nie dowiedzieli się panowie w porcie?! — pytał z gniewem prawie znany mi już głos kobiecy. — Okropność! będziemy go mieć wszyscy na sumieniu! Jak mogliśmy dopuścić do szaleństwa? Całą noc oka nie zmrużę. Będzie mi stał przed oczyma jak upiór — ciągnął dalej głos pięknej panny, „znającej mię oddawna ze słyszenia.“

— Proszę, jakież to delikatne sumienie! — pomyślałem wcale niewzruszony. Jednocześnie wydało mi się, że słyszę jakieś ciche szlochanie. Po chwili przekonałem się, że był to płacz mego ucznia, tulącego się gdzieś w kącie werendy. To mię zdecydowało natychmiast. Wbiegłem szybko po kamiennych stopniach, aby przywitać i uspokoić malca.

— Oto jestem, mój maleńki! A ty dotąd nie śpisz? — mówiłem cicho, tuląc go do siebie, a zapomniawszy całkiem o innych. — Nie zabawiło cię widowisko? — dodałem nieco głośniej, widząc się już otoczonym przez kilka osób wśród wykrzykników i powinszowań.

— Nie była to zabawa, lecz męka! — zabrzmiał tuż przy mnie jakiś głos łzawo-namiętny.

Obejrzałem się i spotkałem gorące, wilgotne oczy „perły naszego grodu,“ jak ją tu nazywano.

— Czy tak? — spytałem obojętnie. Czyżby tak pani żałowała, że zamiast łódką nie popłynąłem wpław po morzu? Możeby to było i więcej zabawne?

— O, proszę tak nie ironizować! Wiem, że zawiniłam ogromnie wraz z innymi, ale też żałuję tego rozpaczliwie po tym widoku strasznym i po tych godzinach czekania.

Pochyliłem zlekka głowę z takim uśmiechem na ustach, jaki mieć musiał ów rycerz z rękawiczki Schillera, gdy stanął po próbie przed swą damą — i skierowałem się szybko ku wejściu do domu.

Słyszałem już nawoływania stangretów i rozjeżdżanie się pozostałych powozów, gdy nagle zapukano zlekka do drzwi. Otworzyłem je i ujrzałem jeszcze raz mego malca, który naprzód rzucił mi się na szyję w radosnem pobudzeniu, a potem zaczął szeptać z wyrazem zabawnie tajemniczym, chociaż byliśmy sami:

— Ktoś bardzo, bardzo prosi, aby pan zeszedł na chwilkę jeszcze na dół. Ma coś bardzo, bardzo ważnego do powiedzenia.

— Cóż to za tajemnica?—spytałem rozśmieszony minką pucołowatego spiskowca. — Wiesz co, mój drogi, bardzo senny jestem i myślę też, że i ty bardzo i bardzo późno się dziś kładziesz. Idźmy więc obaj do łóżka.

— Nie, panie, w żaden sposób! Tam koniecznie „czekają“ na nas z panem! — zawołał malec uroczystym głosem.

Widząc, że się go łatwo nie pozbędę i przypuszczając, że ktoś natarczywie domaga się szczegółów mego powrotu, poszedłem za nim, aby jak najprędzej skończyć tę męczącą sprawę. Uszliśmy kilkanaście kroków i zatrzymaliśmy się przy otwartym powozie. W mroku zarysowały się niewyraźnie dwie postacie kobiece: pięknej Greczynki i towarzyszącej jej starej damy.

Egzaltowana piękność, gdyż znowu była to ona, po wstępie pełnym nieśmiałego wahania, napół zrozumiałych przeprosin, powiedziała mi wreszcie urywającym się co chwila głosem:

— Nadzwyczajne, niespodziewane postępki wywołują mimowoli nadzwyczajne i nagłe uczucia... szacunku i podziwu... Znam nieco przeszłość pańską... a więc jest dla mnie jasnem, że dzisiejszy czyn pana nie był pojedynczym tylko wybuchem heroizmu, lecz że jest on właściwością stałą wysokiej natury jego... Jeżeliby pan raczył zaszczycić dom ojca mego... i mój... dom nasz... bytnością swoją, sprawiłby pan nam wyjątkową przyjemność. Korzystam z przywileju... gospodyni domu (ojciec mój jest wdowcem), aby pana zaprosić... na nasze dni przyjęć.

Pełen niesmaku i zdziwienia wobec objawów tej nagłej słabostki dla „odważnego gladyatora,“ „zajmującego dziwaka,“

cie 4) zupełne usunięcie egzaminów przejściowych, a natomiast wprowadzenie pewnego rodzaju sprawdzań, czyli wypróbowywania zdolności i wiedzy uczniów w ciągu roku szkolnego.

Z NIEMIEC.

Berlin, 7 września.

Ellen Key: *Missbrauchte Frauenkraft* (Zmarnowana siła kobieca). Paryż i Berlin, 1898.

Smutne wrażenie sprawia luzak, który usiłuje powstrzymać tłum, upojony powodzeniem, od dalszego tryumfalnego pochodu i skierować jego kroki na nowe tory, zbaczające z gładkiego gościńca. Tragizmem przejmuje nas misya podobnego białego kruka w dodatku złowieszczego, na którego krakanie masa odpowiada świstem lub w najlepszym razie wzruszeniem ramion, jako na banialuki niegodne uwagi rozsądnego człowieka. A tymczasem ci właśnie krytycy i odstępcy, wnoszący do ogólnego chóru zadowolenia rozdźwięk sceptycyzmu, dzięki swej trzeźwości poglądów i zimnej krwi często górują rozsądkiem nad masą podążającą w kierunku najmniejszego oporu. W każdym obozie bez wyjątku można wskazać podobne „anime solite.“ W ruchu kobiecym np. rolę podobnych prokuratorów i sędziów odgrywają dwie wybitne osobistości: pani Marholm, znana dobrze czytelnikom *Prawdy* i pani Ellen Key, ujmująca swym filozoficznym polotem, potoczystym i barwnym stylem. Umieszczona w nagłówku broszurka szwedzkiej powieściopisarki, napisana specyalnie dla kobiet niemieckich, narobiła olbrzymiej wrzawy w całej tutejszej prasie kobiecej; wciąż jeszcze rozlega się huk dział, ziejących zniszczeniem na „reakcyjnego“ smoka północy. Na całej linii dano ognia do pani Key, jako sprawczyni nieopisanego skandalu. „Zmarnowana siła kobieca“! — czyż podobna w ten sposób wyrazić się o ruchu kobiecym i to w imieniu kultury wyższych spraw ludzkości i przyszłych generacyj! Wprawdzie podobne głosy heretyckie odzywały się z ust niekiedy dość kompetentnych. Tak np. w swoim czasie zadziwił podobną opinią, wyrażoną w jednem z pism tutejszych, znany uczony włoski, prof. Ferrero. Również wysoce inteligentny, młody filozof Simmel, wskazywał kilkakrotnie, iż obierane obecnie przez kobiety zawody mało odpowiadają ich upodobaniom i zdolnościom, że nadto niewiasty z warstw ubogich uważają swą pracę pozadomową jako złe konieczne; ideałem ich jest własne ognisko, a nie działalność obok mężczyzny na polu pracy społecznej. Pani Marholm innymi argumentami poparła podobne twierdzenie; odstręcza ona atoli akcentowaniem strony fizyologicznej. Dopiero pani Key dolała oliwy do ognia, ująwszy swe poglądy w ramę filozoficzną.

Ruch kobiecy — twierdzi wspomniana autorka — dąży do równouprawnienia białogłowy i stworzenia sytuacyi pomyślnej dla rozwoju indywidualności kobiecej. Ruch ten może pochwalić się pięknymi rezultatami; niedalekim jest dzień, kiedy runą ostatnie baszty opoki reakcyjnej, zagradzającej kobietom drogę do obiecanej ziemi wolności i równości obywatelskiej. Kobiety już dziś zajmują najrozmaitsze stanowiska w społeczeństwie i — jak mniemają — w ten sposób zadają kłam bredniom przeciwników sprawy kobiecej, powołujących się na niższość niewiasty. Idąc zaś w zawody z mężczyzną, zaniedbuje ona zdolności jej właściwe. Nic śmieszniejszego nad przypuszczenie, otrzymane w spuściznie od teoretyków rewolucyi francuskiej, sprowadzające naturę rzeczywistych ludzi do wspólnego abstrakcyjnego mianownika. Istnieje przepaść cała — zdaniem pani Key — pomiędzy obiema połowami ludzkości. Daremnymi będą wysiłki kobiet zrównania się z mężczyzną. Dlaczegóż bowiem kobieta w tych dziedzinach, gdzie nie ciążyły na niej pęta, nie mogła dotrzymać im kroku? Dlaczegóż np. w sztuce, której świątynia stała przed nią otworem, dzięki możności prywatnego kształcenia się, nie zapisała ona swego nazwiska nieśmiertelnemi zgłoskami geniusza? Dlaczegóż nawet pedagogia i gospodarstwo domowe, wszystkie przewroty, wynalazki, udoskonalenia i reformy zawdzięczają mężczyznom? Nawet historya religii opowiada niewiele o zasługach kobiet na polu twórczem. Natomiast są dwie dziedziny, gdzie ród niewieści trzyma prym, mianowicie dobroczynność i sztuka odtwarzająca — muzyka wykonawcza i gra artystyczna. Pani Key tłomaczy sobie ostatnie zjawisko tem, iż rodzaj kobiecy rozpada się na dwie rasy: te, które kochają, i te, które nie hołdują erotyce. Miłość, a przedewszystkiem miłość do dziecka — zdaniem pani Key — stanowi rdzeń natury kobiecej. Podobnie jak mężczyzna tworzy wielkie myśli i wzniosłe dzieła, tak kobieta jest bohaterką na polu macierzyństwa. Zdolność do czynów wielkich jest rzeczą mężczyzn; poświęcenie dla dziecka wypełnia życie kobiety. Nie znaczy to, aby oboje nie mogli zamienić się rolami; przeciwnie, lecz w tym wypadku każdy będzie się czuł nie w swoim żywiole. Kobieta, która chce połączyć pełnienie zawodów męzkich ze stanowiskiem matki, nie może podołać obowiązkom ani w jednym, ani w drugim kierunku. Powstaje osoba połowiczna, nie oddana niczemu całem sercem, jak wahadło ciążąca to w jedną to w drugą stronę. Jeśli nawet kaleczy swoje „ja“ i wyrzeka się raz na zawsze macierzyństwa, z trudnością może poświęcić się obranej karyerze, do której musi się zmuszać i naginać. Przypuszczać, iż kobieta potrafi przemódz te trudności i łatwo pogodzić je, znaczy obwołać rodzaj niewieści za rasę geniuszów. Jeśli dwaj ścigają się, to z pewnością ten, co ma kulę u nóg, musi pozostać w tyle. Mrzonką przeto jest i zaprzeczeniem ograniczoności natury ludzkiej, iż kobieta dogoni mężczyznę w wyścigu kulturalnym. Niektóre przeczuwając bezskuteczność tej rywalizacyi, miotają gromy potępienia na instynkt płciowy, zohydzają sobie i innym małżeństwo i miłość, polecają nieskazitelną cnotę do grobu jako szczyt błogostanu. Słowem — zapewnia pani Key — jesteśmy świadkami szamotania się w obozie emancypacyjnym; przed naszemi oczyma roztacza się ponury obraz heroicznej walki, skazującej najpiękniejsze dusze,

---

który się wyrzekł dóbr i rozkoszy ziemskich dla „oryginalnego kaprysu“ — stałem przykro zmieszany, przecząc komplementom i podziwom. Wreszcie podziękowawszy chłodno i oficyalnie za zaprosiny, dodałem:

— Jeżeli pani życzy sobie wiedzieć, jak się rzecz ma naprawdę, to mój postępek dzisiejszy, którego zresztę mocno żałuję, był tylko wybrykiem... upokorzonego Żyda... wobec opinii obecnych, aż nadto wątpliwych Katonów. Stąd aureola, którą mnie pani łaskawie darzy, nie należy mi się wcale. Za wielką wobec tego a całkiem niezasłużoną nagrodą byłoby uczęszczanie do domu szanownego rodzica pani. .

Skłoniłem się i odszedłem, nie podnosząc oczu.

Słabostka jednak mojej Hero, jak wkrótce poczęto ją złośliwie nazywać, przybrała niespodzianie dla mnie wcale poważny charakter. Piękna panna, przywykła od dzieciństwa rozkazywać ojcu i całemu otoczeniu, nie mogła widocznie zrezygnować tak łatwo z nowego rodzaju zdobyczy, która się jej opornie wymykała. Opór ten tłomaczyła sobie zapewne fanatyzmem idei, prawie chorobą psychiczną — i nagle postanowiła mię uleczyć za pośrednictwem... matki mego ucznia. Jakim sposobem potrafiła ją zdobyć — nie wiem dotychczas i niewiele mię to, co prawda, obchodziło. W każdym razie, acz niewyraźnie, nadmieniła mi o korzyściach ze wszech miar ogromnych pewnego związku małżeńskiego, o szczęściu nadzwyczajnem, które spotyka zwykle tych, co nie potrafią go cenić... Mówiła tonem królowej, otwierającej łaskawie wrota... do cudzego skarbca, nie kryjąc prawie przymusu, z którym się tego podjęła.

— Dziękuję pani uprzejmie za tę zajmującą historyę o kimś, kto tak hojnie... sypać chce szczęściem i złotem — i o kimś innym, kto tego nie wart z pewnością. Co do mnie, prędzej byłbym po stronie tego niedołęgi, bo także w... „żydowskie geszefta“ się nie bawię.

W podobnym stanie rzeczy myślałem coraz częściej o bliskim już wyjeździe za granicę. Niezadługo też przed nim otrzymałem taki list bezimienny:

„Jeżeli się cierpi na manię rujnowania własnego życia, to niema potrzeby podciągać innych osób pod jedną tylko upatrzoną z góry kategoryę. Ktoś złośliwy mógłby naprawdę zauważyć: „a jednak to charakterystyczne — dojrzał „geszeft“ nawet tam, gdzie o nim mowy nawet być nie mogło.“ Na osobę nie zwrócił nawet uwagi, a kto wie, czy poznawszy ją bliżej, nie usunęłoby się na dalszy plan wszelkich pseudo gesz-fciarskich skrupułów.

Niezasłużony ból, niezasłużone słowa. .“

Finał tej pięknej a romantycznej historyi był nawet dla mnie niespodzianką, dla mnie, który od czasów swego „żydowstwa“ nauczyłem się wszystkiego spodziewać. Nazajutrz po owym liście zaproszono mię do gabinetu pana domu. Zbliżając się do drzwi, usłyszałem donośny głos męzki:

— O, ja się z nim rozmówię!

Był to ojciec „ofiary mego okrucieństwa.“ Uderzył na mnie bez ceremonii, z góry. Nazwisko córki jego śmią splatać w mieście całem z mojem. Widocznie podaję do tego powody, a on nie dopuści, żeby to dłużej trwało. Zapanowałem nad sobą.

— Powody? Jakie powody?

— Czy ja wiem, jakie? Jeden z nich widziałem na własne oczy: owe efektowne puszczenie się na morze, które zawróciło głowy naszym egzaltowanym, a... posażnym pannom.

Mówił nietylko z impertynenckim gniewem dorobkiewicza, lecz i z wyraźnem żażaleniem i boleścią, jak gdybym naprawdę usiłował zawrócić głowę jego jedynemu dziecku. Te ostatnie smutne hamowały z początku moje wzburzenie. Powiedziałem więc także z pewnym żalem i tłumioną ironią:

— Więc pan uważasz, że moja wycieczka na morze była prostem wyrachowaniem?

— Tak jest, nie inaczej! — wykrzyknął, uderzywszy w stół pięścią i błyskając oczyma.

Wtenczas porwała mię wreszcie długo zwalczana pasya. Stary był i nędzny, nie wymierzyłem mu policzka, ale cisnąłem mu w twarz prawie świeżo otrzymany list córki.

— Zapytaj pan córki swojej, dlaczego list ten był pisany?! — rzuciłem już we drzwiach.

Tego wieczora jeszcze, chory na duszy i na ciele, jechałem za granicę.

(D. n.).

najenergiczniejsze charaktery na uwiąd i zanik. Wytwarza się trzecia płeć, lub jeśli kto woli, rodzaj bezpłciowych pszczół roboczych, którym brak iskry bożej i zarodków naturalnego rozwoju.

Zważmy bowiem—twierdzi pani Key—iż powołanie matki przenika wszystkie sfery jej życia i formuje w sposób tajny pretensyonalny jej myśli i uczucia. Jej zdolność odczuwania i wszelkie uczucia sympatyczne, drgające tysiącem strun w piersi niewieściej, wpłynęły na jej misyę kulturalną. Mężczyzna jest pobopnym do uczuć nieosobistych; przywiązuje się on do idei, wprowadza ją w czyn, tworzy wielkie dzieła, zapuszcza swój wzrok badawczy w ciemnię tajemnicy bytu, przekształca sztukę i religię. Natura kobiety zaś usposabia ją do uczuć osobistych i sentymentów wogóle. To, co on wciela w ideę, ona przetapia na uczucie. Kobieta odznacza się łatwem przyswajaniem sobie cudzych pierwiastków. W szkołach greckich, w otoczeniu ojców kościoła i wszelkich reformatorów obracały się kobiety, chwytając w lot nowe idee, zasiewając niemi życie ludzkości. Entuzyazm i zapał niewiasty, jej natura pełna pietyzmu dla osób wielkich, jej dziecięca łatwość zachwytu czynią z niej najlepszego apostoła, oddanego całą duszą sprawie. Kobieta jest stworzoną do kochania. Przejawia się to u niewiast wszelkiego rodzaju: zarówno u dusz arystokratycznych, jak kobiet tak zwanego zdrowego rozsądku, u wszelkich kapłanek miłości zmysłowej, jak pospolitych kwoczek. Ellen Key opowiada nam, jakie wrażenia wyniosła z podsłuchania rozmów, które prowadzą powracający ze szkoły uczniowie i uczennice. One — przedewszystkiem zaś podlotki — dzielą się myślami o „nim“ lub sukience; żak zaś gawędzi o nauce, gimnastyce, wypadkach historycznych itd. Gdy okoliczności zmuszą dziewczynę do pracy pozadomowej, czyni to niechętnie, jakkolwiek służy zwykle dla mężczyzn za wzór gorliwości. Nurtują ją ustawicznie podziemne prądy marzeń o własnem ognisku. A gdy uśmiechnie się jej los, rzuca uszczęśliwiona swój zawód bez żalu. Wyjątek stanowią lekarki i nauczycielki, które wkładają w swe zadanie całą duszę. Wstępując w szranki pracy zawodowej, również mało kieruje się własnym pociągiem, gdyż chwyta się pierwszego lepszego chlebodajnego zajęcia. Czyż więc — zapytuje autorka — nie mamy racyi, twierdząc, że emancypacya, wybujała na gruncie przewrotu ekonomicznego, marnuje siły niewieście bez liku. Jeśli kobieta cieszy się wyjątkową niezależnością, powinna rozpowszechniać kulturę lub oddać się sztuce dekoracyjnej. Ileż zdziałały dla cywilizacyi wodzirejki salonów w końcu przeszłego stulecia i pierwszej połowie bieżącego. One służyły za ognisko, w którem krzyżowały się wszystkie promienie postępu i nowych idei. Gdyby w przeciągu ostatnich kilkudziesięciu lat nie wyszła ani jedna powieść z pod pióra kobiecego, niemiecka literatura nic a nic na tem by nie straciła. Gdyby natomiast nie urodziła się Rachela Varnhagen, z pewnością ubyłaby połowa z plejady natchnionych wieszczów okresu przedrewolucyjnego.

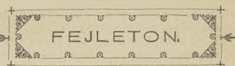
Już wyżej nadmieniliśmy, iż podług pani Key tylko na polu dobroczynności i sztuki odtwarzającej kobiety „zatkały za pas mężczyzn,“ jakkolwiek i w tych dziedzinach brak im po większej części rozleglejszych widnokręgów. Starają się one wspierać nędzę, lecz mało myślą o zapobieżeniu jej, a prawie nic nie robią, aby przyspieszyć ten stan rzeczy, gdzie nie będzie ani nędzy, ani upośledzenia. Tu właśnie szlachetne popędy duszy kobiecej znalazłyby dla siebie ujście. Tyle pięknych idei narodziło się w naszych czasach — jak np. dążenie ligi pokoju, które kobietom należałoby zaszczepiać w sercach swych synów i mężów. Oczywiście, aby nie pozostać gąskami i półgąskami, muszą one uzyskać wszelkie prawa obywatelskie, albowiem te dopiero pozwoliłyby im przyjąć czynny udział w życiu społecznem. Kobieta musi mieć możność kształcenia się i życia pełnią swej namiętności. Lecz za punkt wyjścia powinien ruch emancypacyjny przyjąć nie równość mężczyzny i kobiety, lecz odrębność ich natur.

Jako przykład tego, iż praca na „polu męskiem“ nie przynosi szczęścia kobietom, przytacza autorka Zofię Kowalewską, na której teoretycy ruchu kobiecego przywykli stwierdzać swe medytacye. Sama Kowalewska niejednokrotnie oświadczała, iż zgubiły ją własne zdolności, albowiem popchnęły na drogę, gdzie weszła w mocny zatarg z sobą. Z początku gorączkowo uprawiała swe zadanie, wierząc święcie w doniosłość podjętej pracy. Należy przypomnieć chociażby jej polemikę ze Spencerem w mieszkaniu George Elliot. W miarę tego zaś, jak wciągała się w swą pracę, odczuwała niesmak i gorycz. Raz nawet dała się porwać do wygłoszenia zdania, iż skwitowałaby z całej swej pracy i zdobytych w nauce rezultatów, a nawet sławy za życie pospolitej mężatki ze sfery mieszczańskiej. Kobieta może wzbogacić kulturę tylko dając wyraz swemu bogactwu uczuciowemu, o czem, zdaniem autorki, świadczą panie: Stael, George Sand, Browning, George Elliot, Eggerton i inne. Kobiecie należy dać prawa, a wtedy może ona dokazać cudów. „Możemy wszystko zużytkować — woła autorka — płomień namiętności, który spopiela wszelkie formy konwencyonalne; światło natchnienie, przez które dusza zbliża się do tajemnicy życia naga i nadziemska, jak najwyższy ton skrzypiec. Trzeba nam szału Dyonyzyjskiego i jasności Apollinowej, potęgi demonicznej, która na równi z siłą twórczą wyciska swe piętno na dziele geniusza. Trzeba nam pobożnego samopoświęcenia, które wykonywa czyny bez rozgłosu, świętej prostoty z zapachem konwalij w poranek wiosenny na wsi i dźwiękiem dzwonu w wigilię świąteczną; trzeba nam bezwzględności z jej dymem kadzideł i dzwonem alarmowym, wielkiej wiary i głębokich zwątpień, potężnej miłości i silnej nienawiści.“

Tak oto na skrzydłach Nietzsche'owskiej ekstazy wzlatuje autorka na wyżyny, skąd stara się objąć wzrokiem całe pole kultury. Wślad za niemieckim Zarathustrą rozważa ona kwestye zależnie od tego, co one wnoszą do dobytku kultury ludzkiej. Niejednokrotnie wymyka się jej z ust, iż program, który kreśli, jest „nie z tego świata“ i da się urzeczywistnić tylko w sferze bardziej idealnego nastroju, gdzie ludzie, zwolnieni od troski o byt materyalny, wzniosą się w nadziemskie krainy spraw wyższych. Tem samem podkopuje ona znaczenie swego programu, odkładając możliwość jego zrzeszenia w daleką przyszłość. Dziś, kiedy kobiety zagarniają nowe pola pracy dla podniesienia swego dobrobytu a niekiedy wypełnienia pustki życiowej, nie może być mowy o wytknięciu im misyj, do których nie dorośli mężczyzni. Tylko garstka idealistów na tym świecie patrzy na sprawy ziemskie przez pryzmat dobra ludzkości i interesów kultury. Reszta zadawala się w życiu bardziej poziomymi motywami, jakkolwiek często nazywa rzeczy nie po imieniu i przyoblekа je w szatę utkaną z tęczowych marzeń. Większość kobiet, które dziś uprawiają pole pracy zarobkowej — a jest ich obecnie w Europie legion — nie może obrać sobie za nić przewodnią ideału, nieodpowiadającego realnym warunkom przeciętnej egzystencyi. Zbytecznem będzie przeto poddać szczegółowszemu rozbiorowi poglądy pani Key, rażące często sprzecznością i paradoksalnością.

Niechaj mi za to wolno będzie przy tej sposobności poruszyć wypadek, który doskonale ilustruje niechęć współczesnego ruchu emancypacyjnego do erotyki. Najpostępowsze tutejsze stowarzyszenie wyklęło przy zamkniętych drzwiach przed miesiącem z góry „wolną miłość.“ Zwołano w tym celu walne zebranie, na którem rozstrzygano plany idealnego małżeństwa, wysnuwane np. przez Grant Allen, w Anglii. Zdaniem feministek ideałem związku kobiety z mężczyzną może być tylko małżeństwo dozgonne nierozerwalne. Kobieta powinna więcej wymagać od mężczyzny na punkcie etycznym. Przez to tylko płeć brzydka — jak zapewnia darwinista Wallace — osiągnie większy stopień doskonałości moralnej. „Wolna miłość“ jako reguła wychodzi na szkodę dla kobiet i może mieć racyę bytu w innym — stara zwrotka — idealniejszym nastroju. „Wolna miłość“ jest tylko wodą na młyn mężczyzn, skłonnych do zmienności i gotowych w każdej chwili zwalić z siebie brzemię obowiązków ojcowskich. Kobieta — w uchu słyszę głos perorującej matrony — od obowiązków macierzyńskich traci na urodzie. Słowem należy dziewczątkom strzedz się „wolnej miłości“ jak ognia. Tak przemawiały bojowniczki idei emancypacyjnej.

H. F.



PAMIĘTNIK.

Nowa znakomitość.

Dwie marne ćmy miały szczęście zasłużyć na tak wielką z naszej strony uwagę, jaką zwykle cieszą się tylko znakomite aktorki. Ale bo też te mizerne ćmy zaimponowały nam swoją potęgą, zniszczywszy w krótkim czasie tysiące mórg drzew leśnych i owocowych. Dla takich strasznych dam warto bodaj na chwilę oderwać myśl od teatru i przenieść ją do zoologii. Na nieszczęście i w tej trosce zdradziliśmy naszą naturę, zamiłowaną przedewszystkiem w widowiskach. Jeden z *Kuryerów* ogłosił, że za szybą jego kantoru można obejrzeć wystawioną brudnicę. Ile razy za temi szybami oglądaliśmy fotografie znakomitych artystów lub zbrodniarzów, uważaliśmy, że jest to dosyć dowcipny sposób dogadzania ciekawości ludzkiej. Co wszakże tam robi owad niszczący drzewa, pokazywany warszawiakom, którzy nie są bezpośrednio w nim zainteresowani, którzy pragną tylko wrażeń gapiowskich? Nam się zdaje, że miejscem wystawy dla brudnic nie jest okno kantoru dziennika, ale szkoła elementarna, plebania, urząd gminny itp., wogóle te przybytki, przez które przepływa lud i żywioły wiejskie, zagrożone niebezpieczeństwem plagi. A właśnie tego nie zrobiono. Podczas więc gdy mieszczuchy przypatrują się w Warszawie okazom szkodliwego owadu, gospodarze mali i więksi, koloniści, ogrodnicy, a nawet obywatele ziemscy nie mają sposobności widzieć go, o ile on się śród nich nie pojawił. Według nas, w każdej kancelaryi gminnej, w każdym sądzie gminnym, a nadewszystko w każdej szkółce wiejskiej powinna się znajdować szafka z okazami pożytecznych i szkodliwych owadów, ptaków i zwierząt ssących, któraby ciągle przypominała ludziom obowiązek

i potrzebę szanowania jednych a tępienia drugich. Wtedy takie klęski, jak tegoroczna, byłyby niemożliwe. Jeżeli zaś sądzimy, że zażegnamy, albo nawet zmniejszymy tylko niebezpieczeństwo za pomocą krzyku w gazetach i pokazywania szkodników w oknach kantorów redakcyjnych — to jesteśmy bardzo naiwni.

Podejrzane żale.

Kiedy w kilku pismach warszawskich podniesiono krzyk przeciwko użyciu taniej sacharyny, kosztem drogiego cukru, rzuciliśmy pytanie: dlaczego lekarze w pewnych chorobach przepisują sacharynę, która ma być tak szkodliwa dla ludzi zdrowych? Czy czasem tu interes nie podszył się pod troskliwość o dobro powszechne? Na to pytanie odpowiada nam p. L. Nencki w *Gazecie lekarskiej*. Przedstawiwszy sprawę ze strony naukowej, autor kończy swój artykuł następującem oświadczeniem państwowego Urzędu Zdrowia w Wiedniu z r. 1888: „Badania, dokonane na zdrowym i chorym człowieku oraz na zwierzętach, wykazały, że handlowa sacharyna nie jest trująca, że przechodzi przez ustrój bez żadnej zmiany i że działa, co najwyżej, nieco antyseptycznie. Nie można zatem uważać sacharyny za szkodliwą dla zdrowia, tembardziej, że dzięki swojej ogromnej słodyczy może być przyjmowaną w bardzo małych dawkach. Ponieważ wodany węgla dostarczone mogą być człowiekowi daleko taniej i obficiej w innych pokarmach, przeto jest rzeczą wysoce niesprawiedliwą zabraniać dlatego przywozu sacharyny, że ona nie posiada własności pożywnych."

A więc owa trucizna, obejrzana z drugiej strony, wygląda inaczej — całkiem niewinnie.

Ponieważ tedy sacharyna nie jest szkodliwa, choć niepożywna, przeto, jeśli chcemy wyprzeć ją z użycia, niema innej drogi, tylko zniżenie ceny cukru. I oto przyszliśmy do tego właśnie punktu, który w jeremiadach cukrowników był zupełnie pominięty, a na który my zwracaliśmy głównie uwagę. Jeżeli istnieją dwa podobne produkty, z których jeden niepożywny a tani, drugi zaś pożywny a drogi, uboższe warstwy ludności i dogadzający im spekulanci będą się zwracali do pierwszego; zapobiedz temu i wytworzyć przywilej dla drugiego siłą prawa — możo żądać interes, ale nie zgodzi się słuszność. Innemi słowy: cukier powinien zwyciężyć sacharynę i stać się artykułem spożywczym mas, ale dokona tego jedynie zmniejszeniem stopnia słodyczy, jaka tkwi w jego... dywidendach.

Spekulacya.

Jak wiadomo, niektórzy profesorowie wyższych zakładów naukowych wydają swoje lekcye w arkuszach litografowanych, które wszyscy studenci nabywają: jednym ułatwiają one studya, a drugich uwalniają zupełnie od uczęszczania do audytoryów. Otóż *Warszawskij Dniewnik* wystąpił przeciwko cenie tych litografij. 10 a nawet 15 kop. za arkusz — powiada on — zbyt drogo, zwłaszcza że w nim tekst pisany rzadko. Należy pobierać wynagrodzenie za pracę, ale nie wyzyskiwać... Kogo? Biedaków, którzy często nie mają za co kupić sobie obiadu. Dlatego apostrofę *Dniewnika* uważamy za słuszną i mamy nadzieję, że ona będzie skuteczna. Kiedy opłaty szkolne w wyższych zakładach naukowych były małe, a warunki życia tańsze, młodzież łatwiej mogła dźwigać ciężar studyów, ale dziś przy 100 rublowych wpisach i ogólnej drożyznie, niepodobna dodawać jeszcze znacznych wydatków na kursy litografowane.

Którędy droga?

Takie pytanie zadał sobie i usiłował na nie odpowiedzieć w osobnej broszurce pod tym tytułem p. Adolf Starkman, podniósłszy jeszcze raz zużytą kwestyę żydowską. Według niego, odraza do Żydów nie wyrasta z gruntu ekonomicznego, lecz obyczajowego. Zarówno konserwatyści, jak postępowcy, zarówno ciemni jak oświeceni drażnią na każdym kroku uczucia innych żywiołów społecznych swą pyszałkowatością, brakiem taktu i przyzwoitości, pamiętaniem tylko o sobie, lekceważeniem koniecznych form towarzyskich. Uważając się ciągle za lud wybrany, pomiatają innowiercami i budzą przeciw sobie nienawiść. Pod tym względem chałatowiec nie różni się od tużurkowca, obaj wszędzie zachowują się tak, jak gdyby byli sami — krzyczą, znieważają i naruszają zwyczaje towarzyskie. Słowem są to — zdaniem p. S. — ludzie zuchwali i źle wychowani. Dla grzesznej czerni ma autor lekarstwo — oświatę. A dla oświeconych? Nie ma żadnego, właściwie zatem nietylko nie odpowiada na pytanie: „którędy droga?", ale pozwala czytelnikowi wnosić, że taka droga wcale nie istnieje. Bo jeśli Żyd „otarty" jest tak samo brutalnym, niewyszkolonym społecznie i towarzysko, to cóż pomoże oświata i po co było pisać broszurę?

Wesoła filantropia.

Zaisto trzeba podziwiać wielką pomysłowość naszej filantropii w wynajdywaniu coraz nowych nazw dla zabaw publicznych, mających swym dochodem zasilić jej skarbonki. „Jarmark," „Biała reduta," „Babie lato" itd. — wszystko to są imiona jednej rzeczy — pompy dobroczynnej. Te umizgi orędowników nędzy do kieszeni klas zamożnych, te jałmużny rozdawane śród wesołych śmiechów i zabawy są czemś tak okropnem, że pomimo długoletniego zwyczaju ani rozum, ani serce nie może się z niemi pogodzić. Ale to oswajanie się postępuje. Warszawa, a za nią cały kraj już coraz mniej pojmuje inne formy wspierania ubogich i nieszczęśliwych, a może kiedyś nadejdzie czas, w którym zupełnie zaniknie w nas poczucie obowiązku ofiarności i przerodzi się w poczucie obowiązku uczęszczania na zabawy filantropijne. I dziś już zapewne niejedna tkliwa dusza, widząc wóz Pogotowia biegnący do mularza, który spadł z rusztowania i połamał sobie kości, myśli lub mówi w głębokiem rozrzewnieniu: „Dopprawdy dla tych zacnych ludzi warto tańczyć do rana." Nie wiemy, ile jest między nami wyjątkowych jednostek, które spłacają swe długi względem niedoli daninami bezpośrednio przesyłanemi ubogim lub ich instytucyom. To pewna, że jest ich bardzo mało. Ogromna reszta rozdziela jałmużny na balach, rautach, koncertach, widowiskach teatralnych i innych zabawach, wystrojona, rozśmieszona, nieraz pijana. Nędza otrzymuje wsparcie owinięte w materye i aksamity, śród dźwięków wesołej muzyki i huku odkorkowywanych butelek, śród flirtu eleganckich pań i panów. Chyba na całym świecie bogini miłosierdzia nie jest tak pyszną bohaterką operetki.

Nowy system rolnictwa

Nakładem *Rolnika i hodowcy* wyszła książka p. J. Owsińskiego p. t. „Nowy system rolnictwa." Nie możemy wchodzić w zbyt specyalne dla naszego pisma szczegóły tej pracy, pragniemy tylko zwrócić uwagę na jej myśl główną. Autor dowodzi teoretycznie i praktycznie, że stosowana dotychczas, według niego zbyt głęboka orka jest główną przyczyną słabych plonów zboża i że płytka (dwucalowa) dałaby wielokrotnie obfitsze zbiory i zapobiegłaby nieurodzajom. Twierdzenie to, wypowiedziane z bezwzględną stanowczością, nastręcza dwie możliwości: albo autor się myli i może wielu, których przekona, wprowadzić w ciężkie kłopoty, albo rzeczywiście wnosi do rolnictwa zmianę ogromnej doniosłości. Zarówno w pierwszym, jak drugim wypadku książka jego nie powinna być puszczona z falą wydawnictw lekceważonych, lecz poddana gruntownemu rozbiorowi specyalistów. Jeżeli bowiem p. O. zapewnia, że przy swej metodzie otrzymuje średnio 100 pudów zboża z morgi, a w dobrych latach nawet 200—to warto sprawdzić, czy on ogłasza jakieś złudzenie, czy też „nowy system," który może wysoko podnieść płodność naszej ziemi.

Kozły ofiarne.

Ani ogół, ani prasa wcale nie zwraca uwagi na smutne stosunki, jakie się wytworzyły w ostatnich czasach między tak zwaną służbą ruchu a publicznością skutkiem niewłaściwych rozporządzeń zwierzchności kolejowej. Nie mogąc zaprowadzić właściwej kontroli, zastosowano środki, mające na celu szykanowanie publiczności. Tak np. każdy bilet musi być stemplowany w kasie, czego dawniej nie było; jednocześnie kazano zamykać wcześniej kasy. Kto więc przyjedzie chociaż na kilka minut przed odejściem pociągu lecz po drugim sygnale, choćby był posiadaczem najprawniejszego biletu, jest uważany za pasażera usiłującego przemycać się i nie dość, że traci bilet niestemplowany, lecz jeszcze płaci karę. Przepisów tych ściśle pilnują panowie kontrolerowie, chcąc wykazać swoje stanowisko i znaczenie w wagonach, obchodzą się niegrzecznie i często nieprzyzwoicie z publicznością, która ostatecznie mści się na służbie konduktorskiej, spełniającej rozkazy kontrolerów, łży ją i zbezcześcza. To samo dzieje się przy wypuszczaniu pasażerów jak aresztantów przez jedną połowę drzwi z sali na peron lub przy wsiadaniu do wagonów. Bywały nawet wypadki czynnej zniewagi konduktorów. To jest rezultat przepisów czysto miejscowych, utrudniających komunikacyę i nieprzyzwoitych w wykonywaniu.

Zamykanie sklepów.

Od kilku tygodni wprowadzono w Warszawie nowość: zamykanie sklepów kolonialnych o godzinę wcześniej niż dotąd, tj. o 10-ej wieczorem. Gdyby nakaz taki powstał ze względu na przeciążenie pracą subjektów, można byłoby mu przyklasnąć. Ma on wszakże wręcz co innego na celu: Ponieważ monopolowy handel gorzałki ustaje o 10-ej wieczorem, więc powinien o tej porze ustać i w sklepach kolonialnych. Kto chce pić lub się upić, ten znajdzie sposobność o każdej porze; umoralnianie tedy ogółu różnorodnego i stojącego na różnych poziomach umysłowych za pomocą przerwy handlu o godzinę wcześniej, jest z punktu potrzeb mieszkańców, bardzo niedogodne. Spóźniony przechodzień o godzinie 10¼ nie może kupić cytryny lub oliwy, bo sklep zamknięto, ażeby nie sprzedawał piwa i wódki. Niektórzy kupcy wyrobili sobie przywilej przedłużenia handlu o kilkanaście minut, złożywszy przedtem zobowiązanie, że trunków sprzedawać nie będą. Ktoś chciał dla osoby chorej kupić wina o godz. 10 min. 12 wieczorem, ale mu odmówiono, ze względu na powyższe zobowiązanie. Niewątpliwie rozporządzenie to wynikło z nieporozumienia, bo przecież niepodobna przypuszczać, ażeby je wydano na mocy jakiegoś umotywowania, skoro ono jest sprzeczne z interesami ogółu.



BADANIA NAUKOWE.

POSZUKIWANIA K. BUECHERA.

Naukowa działalność Karola Buechera, obecnie profesora wszechnicy lipskiej, dostarcza nowego dowodu, iż wartości książek nie należy mierzyć ilością zadrukowanego papieru. Badacz ten napisał kilka szkiców, *) poświęconych rozbiorowi początków różnych stron życia ekonomicznego. Są to zawsze rozprawki bardzo nieznacznej rozciągłości, niekiedy parę, czasami kilka arkuszy druku. Każda z nich jednak stanowi przyczynek poważny w zakresie tej gałęzi wiedzy, którą nazwałbym socyologią zjawisk ekonomicznych. Pod względem wartości naukowej przedstawiają one, w rozwoju nauki o historycznem kształtowaniu się stosunków gospodarczych, dobytek głębszy, aniżeli olbrzymie względnie poszukiwania Karola Letourneau nad dziejami własności lub wymiany. Traktują one o gospodarstwie ludów pierwotnych, o kolejnych fazach rozwoju ekonomicznego od więzi naturalnej do narodowej, o formach zrzeszenia i podziału pracy itd. Niektóre z nich, zwłaszcza rzecz, poświęcona przedstawieniu zależności pomiędzy nakładem wysiłków a rytmiką ruchów, odznaczają się rzadką oryginalnością. Pozornie są to tylko pojedyncze cegiełki, przeznaczone na to, ażeby ktoś z nich zbudował kiedyś w przyszłości gmach całokształtu dziejów rozwoju ekonomicznego. K. Buecher uskarża się wielokrotnie na brak materyału faktycznego, szczególniej gdy chodzi o stosunki gospodarcze ludów dzikich i barbarzyńskich. „Nasi podróżnicy — pisze on w jednym ustępie broszury swojej o gospodarstwie szczepów pierwotnych — dotychczas darzyli bardzo małą uwagą gospodarstwo ludów dzikich; robiąc spostrzeżenia nad odzieżą, kultem, zwyczajami, wierzeniami, obyczajami małżeńskimi, sztuką, techniką, zapominali o rzeczy najbliższej.“ Ale taka niedostateczność materyału nie powstrzymuje go od zamiaru powiązania faktów w pewne uogólnienia. „Jeśli ktoś jest wyznawcą poglądu, iż materyał, potrzebny do wzniesienia tego rodzaju budynku, jest dzisiaj niedostatecznie zebrany i opracowany, nie będę się z nim spierał. Mniemam jednak, że na razie potrzeba ogarnięcia całości jest potężniejsza, niż możliwie doskonałego wykończenia szczegółów. Chyba nic przyniesie to wielkiej szkody, gdy w przyszłości tę lub ową cegiełkę zamienimy na inną.“ I prace K. Buechera, acz pozornie są tylko pojedynczymi przyczynkami, rozświetlającemi tę lub inną stronę życia ekonomicznego, przecież w istocie rzeczy dają daleko więcej, bo ukazują studyującemu zręby całokształtu.

Naturalnie, prowadząc poszukiwania nad ewolucyą stosunków ekonomicznych, badacz niemiecki musi wyznawać zasadę ich nieustającej zmienności.

Każdy wie — powiada on we wstępie do jednej z rozpraw swoich — że sposoby, jakimi obecny człowiek cywilizowany zaspokaja liczne swoje potrzeby, podlegają ciągłemu przekształcaniu się. Nasi dziadowie nie znali wielu instytucyj i urządzeń, bez których my obejść się nie umiemy, i nasi wnukowie popatrzą z góry na wiele rzeczy, które nas zadawalają. Ogół stosunków i urządzeń, stworzonych przez potrzeby pewnego narodu, stanowi treść gospodarstwa społecznego. I samo to gospodarstwo przedstawia rezultat ubiegłego rozwoju kulturalnego, zmieniający się z upływem czasu. Wogóle, wszelki objaw ekonomiczny ma wartość względną. Każdy, przystępujący do studyów nad stroną gospodarczą pożycia społecznego, powinien zrozumieć tę prawdę, iż niema tam rzeczy bezwzględnych, iż wszystko posiada doniosłość tylko czasową, zależną od miejsca i epoki. Tam wstecz, za naszym światem w przeszłości, istniejo zupełnie odmienny ustrój ekonomiczny: inne rzeczy, inni ludzie, inne poglądy! Ogniwo po ogniwie, idą w kolejnem następstwie wieków, wciąż nowe okresy zaspajania potrzeb życia codziennego.

K. Buecher usiłuje dać nam zasadniczy wątek tego pasma rozwojowego.

Jego zdaniem, ekonomista jeśli pragnie zrozumieć gospodarstwo pewnego ludu z innych epok, musi przedewszystkiem zadać sobie pytanie, czy jest ono gospodarstwem narodowem, tj. czy właściwe mu stosunki są pokrewne z naszemi urządzeniami, opartemi na wymianie, lub też posiadają odmienną naturę. Szkoła ekonomistów, przywłaszczająca sobie miano „historycznej,“ wykazała kompletną nieudolność do podjęcia tego zadania. Zamiast zbadania stosunków pierwotnych na podstawie materyału faktycznego, zaczerpniętego z ich gruntu, rozpatrywała rzecz pod europejskim kątem widzenia i przenosiła nasze poglądy w przeszłość. Nauka musi zerwać z takiem postępowaniem. Powinna ona rozpocząć od wytknięcia drogowskazów — szczebli rozwojowych, któreby odrazu zwaliłyby uprzedzenie, jakoby ewolucya gospodarcza szła według tych samych zawsze zasad. „Wytknięcie takich szczebli gospodarczych — powiada Buecher — należy do liczby niezbędnych środków metodycznych. Ale tych szczebli nie należy mieszać z epokami, według których historyk klasyfikuje swój materyał. Dziejopisarz musi wszystko uwzględnić, cokolwiek zdarzyło się w badanej epoce; tymczasem fazy ekonomiczne zawierają w sobie jedynie to, co jest w nich normalnego, odrzucają zaś przypadkowe.“ Badania tego rodzaju wykażą, że gospodarstwo narodowe, w jakiem przebywamy, stanowi wytwór późniejszy, wiekiem swoim nie starszy, niż państwo nowoczesne; że przed jego ukazaniem się, w ciągu olbrzymich okresów czasu, ród ludzki nie znał wymiany lub posługiwał się takiemi jej formami, które trudno zaliczyć do gospodarczo-narodowych. Zachodzi tylko jedno pytanie, mianowicie, jaką stronę życia ekonomicznego należy wziąć na pierwiastek klasyfikacyjny. Uczony niemiecki spostrzega go w długości drogi, którą produkt musi przebyć, zanim dostanie się od wytwórcy do spożywcy. Wychodząc z takiego stanowiska, odróżnia on, przynajmniej dla ludów Europy zachodniej i środkowej, trzy charakterystyczne fazy:

1) Okres gospodarstwa zamkniętego, czyli naturalistycznego. Produkty są spożywane w tem samem gospodarstwie, w którem je wytworzono.

2) Okres gospodarstwa miejskiego. Towar, który już istnieje, przechodzi od wytwórców do spożywców w sposób bezpośredni, będąc produkowany na obstalunek.

3) Okres gospodarstwa narodowego czyli towarowego, kiedy produkt, zanim dostanie się do rąk spożywcy, musi przejść pewną, większą lub mniejszą liczbę pojedynczych, prywatnych gospodarstw.

W gospodarstwie zamkniętem pewne nieznaczne grono osób winno nietylko otrzymać ze swej pracy płody rolne, lecz także poddać je przeróbce. Ma ono do spełnienia wielką ilość zadań wytwórczych: ażeby zaś im podołać, musi posiadać tak liczne i obfite wiadomości techniczne, iż członek naszej cywilizacyi z trudnością zdoła o tem wyrobić sobie należyte pojęcie. Rodzina obecna, złożona z małżonków i dzieci, lub też z paru służących, nie mogłaby uczynić zadość tym obowiązkom. To też „rodzina“ z epoki gospodarstwa zamkniętego posiada inne rozmiary, niż nasza: składa się z bardzo znacznej liczby członków. W formie demokratycznej, jako zadrugę, spotykamy ją u Słowian południowych. Mężczyźni i kobiety, matki i dzieci, ojcowie i dziadowie, słowem każda kategorya osób ma tam wyznaczone specyalne zadania. Uczucia solidarności braterskiej, posłuszeństwa dla starszych, powagi wieku dochodzą w takiej rodzinie, liczącej niekiedy kilkadziesiąt przedstawicieli, do najwyższego swego rozkwitu. Istnieją przecież i inne ustroje, oparte na gospodarstwie zamkniętem. Wszystkie one wprowadzają do niego siły obce, niezwiązane wzajemnem pokrewieństwem. Jest to „familia“ niewolnicza, że użyjemy terminu rzymskiego i dwór pańszczyźniany. W Rzymie pojedyncze wielkie gospodarstwo zawierało niekiedy kilkuset i więcej specyalistów niewolników, którzy zajmowali się wyrobem możliwych przedmiotów i wykonywaniem potrzebnych czynności: wszystkie funkcye ekonomiczne były tam spełniane w obrębie takiego wyodrębnionego organizmu, kupno-sprzedaż były albo zupełnie nieznane, albo zdarzały się w wyjątkowych wypadkach. Dwór pana feodalnego wraz z zależnemi od niego osadami pańszczyźnianemi przedstawiał widok podobny: posiadał on pewną liczbę własnych rzemieślników i parobków, nadto poddani kmiecie, mający własne pola, dostarczali mu dania i spełniali robocizny. Produkty surowe ulegały przeróbce w obrębie takiej całości i w niej zostawały spożyte.

Takie gospodarstwo zamknięte nie zna ani jednego z tak zasadniczych pojęć ustroju wymiennego, jak: kapitał, towar, cena, wartość i nie posiada handlu i kupców.

Podczas okresu miejskiego, organizm gospodarczy odznacza się większymi rozmiarami. Jeśli dla przykładu weźmiemy Niemcy, to otrzymamy pewną liczbę takich całości, posiadających w dzielnicach południowo-zachodnich około 2—2,5 mil kwadratowych przestrzeni, na wschodzie zaś 5—8. Miasto, będące siedliskiem rzemiosła i kupiectwa, sprzedaje swoje produkty okolicznym rolnikom, dostając w zamian płody ziemi. Stosunek ten pomiędzy wsią a miastem nosi poniekąd charakter przymusowy. Jakkolwiek dużo można zarzucić próbom, wyprowadzającym ustawę miejską z dworskiej, przecież stosunki ekonomiczne, właściwe miastu, dają się pojąć i wytłomaczyć, gdy będziemy je rozważali, jako dalszy rozwój organizacyi dworskiej. Co w tej ostatniej istniało w stanie zarodkowym, tam zamieniło się na gotowe urządzenia; co tam tłoczyło się obok siebie niewyraźne, to w mieście rozdziela się i prowadzi byt samodzielny. Przymusowy podział pracy w obrębie dworu wyrósł na przeciwstawieństwo pomiędzy wsią i miastem, w tem zaś ostatniem na całą hierarchię fachów. Pojawia się towar i z nim różne kategorye, charakteryzujące naszą epokę gospodarczą. Są one jednak mało rozwinięte, produkcya odbywa się na obstalunek, pośrednicy odgrywają nieznaczną rolę i tylko wtedy, gdy chodzi o przedmioty zbytku, sprowadzane z dalekich okolic.

Wreszcie powoli powstaje ustrój dzisiejszy, gospodarstwo narodowe, kiedy

*) *Arbeit u. Rhythmus*, Lipsk 1896; *die Entstehung der Volkswirthschaft*, wyd. II, Tybinga 1898; *die Wirthschaft der Naturvoelker*, Drezno 1898. Niektóre z tych szkiców są obecnie tłomaczone na język polski.

podział pracy powiązał całe społeczeństwo w olbrzymi organizm wymienny.

Podaliśmy jedynie szkielet, służący K. Buecherowi za rusztowanie do uporządkowania zwyczajów i instytucyj ekonomicznych. Każdy z tych okresów posiada swoją własną ekonomię, którą można zrozumieć tylko naówczas, gdy zbadamy fakty. I nietylko zasadnicze kategorye są odmienne, ale wszystkie sposoby działalności gospodarczej, i cała psychika pracy posiadają zgoła inną fizyognomię, nawet duchowość samego człowieka. Rozprawy badacza niemieckiego są właśnie poświęcone mniej lub więcej pobieżnej charakterystyce różnych stron życia ekonomicznego w wspomnianych fazach rozwoju. Zwykle są to krótkie uogólnienia, poparte materyałem faktycznym z bytu ludów dzikich i barbarzyńskich. Na przekór takiej pobieżności, stanowią one istotne bogactwo jego poszukiwań, o którem trudno dać pojęcie nawet w dłuższej recenzyi. Ograniczyliśmy się więc jedynie do zwrócenia uwagi na prace tego wybitnego uczonego, przedstawiające taką wartość a tak stosunkowo mało znane.

Krótką naszą wzmiankę o Buecherze zakończymy jednym ustępem z prac jego, uwydatniającym przewybornie zapatrywania jego na nasz subjektywizm w ocenie innych okresów życia ekonomicznego:

„Dla wielu, którzy dzisiaj, jako pionierowie kultury, z wysoka spoglądają na swych czarnych i brunatnych współbliźnich, człowiek pierwotny przedstawia zbiór wszelkich przywar gospodarczych: jest leniwym, nieporządnym, lekkomyślnym, rozrzutnym, chciwym, złodziejem, bez serca, żądnym użycia. Istotnie, żyje on tylko dla chwili bieżącej, unika pracy systematycznej, nie zna pojęcia obowiązku. Ale i o tem nie trzeba zapominać, iż, posługując się swemi nędznemi narzędziami, dostarcza takiej ilości pracy, która winna wywołać nasz podziw najwyższy. Nadewszystko zaś jego sposób gospodarowania zapewnia mu taką sumę szczęścia i radosnego usposobienia, iż pochłonięty troskami Europejczyk mógłby mu pozazdrościć.“

L. K.

WIEDZA POPULARNA.

P. Stanisław Kramsztyk należy bezwątpienia do najzdolniejszych u nas popularyzatorów wiedzy przyrodniczej. Niema on poetyckiej i bujnej (niestety często zbyt poetyckiej i nadto bujnej) fantazyi Flammariona, brak mu głębokiej oryginalności i talentu twórczego Tyndalla, posiada jednak dużą erudycyę, szczery, prawdziwy dar pedagogiczny, wielką miłość przedmiotu oraz umiejętność władania polskim językiem naukowym. Te zalety sprawiają, że każdą jego pracę czytamy z przyjemnością i pożytkiem. A liczba tych prac jest wielka. W ciągu blizko trzydziestu lat wyszło z pod jego pióra niezliczone mnóstwo większych i mniejszych rozpraw popularnych, broszur, odczytów, artykułów i książek. Niektóre z nich cieszą się zasłużonem powodzeniem, doczekały się nawet przekładów (np. „Wiadomości początkowe z fizyki“), autora a wszystkie noszą na sobie cechy talentu. Całkowity dział nauk przyrodniczych w dawnej encyklopedyi Orgelbranda (mniejszej), fizyka, meteorologia, geofizyka i astronomia—w „Wielkiej Encyklopedyi“ Sikorskiego, odnośne działy w nowopowstałym „Słowniku języka polskiego“ — wszystko to było lub jest pisane jego ręką kiedyś zapełniał niemal całe numery *Wszechświata*, a obecnie redaguje dział nauk przyrodniczych w nowej encyklopedyi Orgelbrandów. Gdy zaś dodamy do tego, że, jak większość, niestety, naszych ludzi nauki, musi on również pracować dla chleba, podziwiać należy tę wyjątkową jego pracowitość i wytrwałość. To też w dziejach oświaty naszej z ostatnich lat trzydziestu, a szczególniej w dziejach rozpowszechnienia w społeczeństwie naszem wiadomości przyrodniczych posiada St. Kramsztyk swoją własną, zasłużenie zapisaną kartę.

Obecnie mamy do zanotowania nową jego pracę: jest to pierwsza część wykładu popularnego astronomii p. t. „Niebo i ziemia.“ Książka ta wypełni istniejącą w naszej literaturze popularno-naukowej lukę. Stoi ona pośrodku pomiędzy doskonałą, lecz zupełnie popularną „Nauką o niebie i ziemi“ M. Heilperna, a zbyt poważnym dla przeciętnego czytelnika podręcznikiem „Kosmografii“ Jędrzejewicza. Pierwsza połowa „Nieba i ziemi,“ poświęcona opisowi ziemi, jako bryły niebieskiej, uwydatnia wszelkie dobre strony prac autora. Ma Kramsztyk dar prawdziwy tłomaczenia najbardziej zawiłych zjawisk i faktów przyrodniczych bez pomocy formuł, które posiadają tę zaletę, że znakomicie ułatwiają wykład, i tę jednocześnie wadę, że odstraszają zwykłych czytelników. W całej „Ziemi jako bryle niebieskiej“ nie uciekł się ani razu do wzorów matematycznych, co było tem trudniejsze, że astronomia jest nauką, posiłkującą się *par excellence* rachunkiem dla wypowiadania swych prawd i udowadniania twierdzeń. Metoda nauczania, której hołduje Kramsztyk, może być nazwana historyczną; każe on czytelnikowi patrzeć na naukę przez szkło historyi i wykazuje zawsze, ile wieków i jakich wysiłków umysłu ludzkiego trzeba było dla odkrycia tych prawd, które dziś wydają się oczywistemi każdemu choć trochę oświeconemu człowiekowi. Zalet tej metody dowodzić nie potrzebujemy; uczynił to już sam autor we wstępie do swych „Szkiców przyrodniczych,“ do których czytelnika odsyłamy. Do rozdziałów najciekawszych książki zaliczamy szósty i siódmy, dotyczące kwestyj, zazwyczaj niesłusznie zbyt lekko traktowanych, jak oznaczanie położenia miejsc na ziemi oraz przyrządy i środki pomocnicze astronomii. Jeden tylko zarzut moglibyśmy uczynić autorowi: oto czasem zbyt wiele nagromadza szczegółów niepotrzebnych, których czytelnik spamiętać nie może, a które zbyt powiększają objętość książki i nużą. Sądzę, że z rozdziału pierwszego i drugiego dałoby się coś bez szkody dla całości opuścić. A teraz życzyć tylko wypada, aby autor nie dał długo czekać na część drugą dzieła, na którą się w pierwszej nieraz powołuje, podniecając ciekawość czytelnika.

Zbyt długo musieliśmy czekać na zeszyt pierwszy tomu drugiego wspaniałych „Zasad fizyki“ prof. Augusta Witkowskiego (pierwszy tom wyszedł, zdaje się, przed pięciu laty). Niepodobna go o to winić, gdyż pochłania go praca czysto naukowa i działalność profesorska, lecz rozciągając w ten sposób swą pracę, może doczekać tego, iż początek jego dzieła się zestarzeje, nim się koniec zjawi. Byłaby to szkoda. „Zasady fizyki“ bowiem prof. Witkowskiego odpowiadają w zupełności wszelkim wymaganiom wiedzy współczesnej pod względem treści i wykładu. Fizyka, ta, jak ją Anglicy nazywają, „Natural Philosophy,“ stała się w czasach ostatnich rzeczywiście „filozofią przyrody,“ a to dzięki szerszej i głębszej metodzie badań. Jeszcze stosunkowo niedawno zawdzięczała ona swój rozwój jedynie niemal drodze eksperymentalnej. Mniej lub więcej dowcipnie pomyślane i zgrabnie przeprowadzone doświadczenia dawały możność wyciągania wniosków ogólniejszych, nieraz dość zawodnych. Dopiero analiza matematyczna oraz mechanika, doszedłszy w dobie ostatniej do pełni rozkwitu, dała badaczom w ręce instrument pewny i niezawodny. Matematyka pozwoliła fizykom wprowadzić ścisły ład i metodę do doświadczeń, wskazywać kierunek badań, z góry przewidywać ich wyniki, a nawet teoretycznie odkrywać nowe prawa i uzasadniać teorye, wymagające tylko potwierdzenia doświadczalnego. Moglibyśmy tu wyliczyć całą litanię nazwisk tych pionierów nowego kierunku; wystarczy jednak, gdy wspomnimy Maxwella oraz teoretycznie, jedynie przy pomocy rachunku, uzasadniony przezeń związek pomiędzy światłem i elektrycznością, związek tak klasycznie następnie udowodniony przez doświadczenia Herza. Ta metoda matematyczna pozwoliła doprowadzić do najobszerniejszych uogólnień; dzięki niej tylko mogła fizyka stać się tem, czem jest dziś, tj. nauką o przemianach energii. Zgodnie z takim kierunkiem wiedzy fizycznej poświęca prof. Witkowski w swem dziele mało miejsca stronie doświadczalnej, natomiast szeroko opracował teoryę ogólną, *zasady* (jak zaznacza sam w tytule książki), przytaczając doświadczenia o tyle tylko, o ile jest to konieczne dla potwierdzenia teoryi. Dobrowolnie jednak pozbawił się autor tak potężnego środka wykładowego, jakim jest rachunek wyższy, posiłkując się jedynie w miarę potrzeby elementarnym, przez co książka tyle zyskuje na popularności, ile być może traci na powadze i ścisłości; lecz nie mógł postąpić inaczej, gdy chciał, aby praca jego rozeszła się w szerszych kołach ogółu ukształconego, a na takie jak najszersze rozpowszechnienie zasługuje ona dzięki swej rzeczywistej wartości naukowej i literackiej.

Na ostatek uwaga, nie pod adresem autora, lecz wydawców. W każdym innym kraju dzieło podobne zostałoby przybrane w odpowiednią dla jego wartości wewnętrznej szatę. Niedaleko szukając, mamy przykład w wychodzącym obecnie w Petersburgu pięknym kursie fizyki prof. Chwolsona. Pod względem papieru i rysunków, a nawet i druku, nie mogą „Zasady“ z owym kursem nawet być porównane. Takie zaniedbanie formy świadczy wprost o braku poszanowania dla rzeczywistej pracy naukowej.

Mich. Mut.

Kazimierz Król i Jan Nitowski: *Podręcznik do nauki literatury polskiej.* Połowa I (str. 1 do 210) Warszawa 1898.

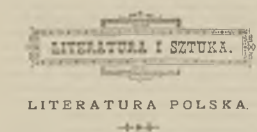
Autorowie, dalecy od myśli wyczerpania przedmiotu, w opracowaniu dzieła swojego powodowali się jeno względami popularyzacyjnymi. Nietylko przez treściwe zestawienie faktów, ale i przez styl prosty, nie wymuszony, nacechowany pewną szlachetnością, uczynili też zadosyć najważniejszym dydaktyki wymaganiom. P. Nitowski wziął na barki swoje opracowanie okresu średniowiecznego, Zygmuntowskiego i poezyi XIX w.; resztę, tj. okresy Jezuicki i Stanisławowski pozostawił p. Królowi.

Ponieważ używanie języka polskiego w piśmiennictwie weszło dopiero od XVI w. przez pisma protestantów, którzy chcąc oddziałać na lud, nieświadomy łaciny szkolnej, przemawiali doń w mowie ojczystej, autorowie okresy średniowieczny i Jagielloński, acz wyróżniające się przełomem w walce scholastycyzmu z humanizmem, do jednego zredukowali średniowiecznego i tym sposobem niemałą ulgę uczynili pamięci.

P. N., nie zaniedbując ważnego nader źródła w pracy Karbowiaka (Szkoły parafialne w Polsce w XIII i XIX w.), kreśli stan szkół średniowiecznych, o których doniosłości niepotrzebujemy się rozwodzić. Humanizm i reformacya dokony-

wają ważnego w umysłach przeobrażenia, brzemiennego w płodne dla piśmiennictwa następstwa. Trafnem jest zdanie autora co do przyczyn krótkotrwałości u nas protestantyzmu: „Fakt tak szybkiego zaniku reformacyi po gwałtownym jej początkowo wzroście, da się wytłomaczyć częściowo gorliwą działalnością zawziętych jej wrogów, jezuitów, głównie zaś tem, że w Polsce nie była ona, potrzebą ogólną, protestem przeciw pewnym nadużyciom.“ Ot panowie jeżdżąc do Wittenbergii chwytali nowinki dla mody, bo nie mając wykształcenia filozoficznego i teologicznego, potrzeby reformacyi nie uczuwali, a radzi byli popisywać się rzekomą erudycyą, aby klechów ośmieszyć i utrzymać w pewnej od siebie zależności. To też nie zdolni byli do polemizowania z zakonem Societatis Jesu, który bądź co bądź biegłych miał teologów i dyalektyków. Idea informacyi nie przeszła do ludu, a więc nie zapuściła trwałych korzeni. P. N. zwraca uwagę, że kierunek klasyczny, panujący przeważnie w okresie Zygmuntowskim, nie dowodzi jakoby wszyscy wyłącznie Polacy oddawali się gruntownym studyom filologicznym, co było jeno przywilejem niektórych jednostek; albowiem przeważna część ówczesnego społeczeństwa, jako i dziś poniekąd, zadawalała się szkolnem, powierzchownem w klasycyzmie wykształceniem, nader w istocie rzeczy niedostatecznem, będącem jeno parodyą filologii w właściwem tego wyrazu znaczeniu. „W poezyi XVI w., mówi p. N., znajdujemy, jak i u poetów starożytnych, bezwzględny spokój ducha, czyniący nawet pewne wrażenie chłodu, a obok tego artystyczną doskonałość formy.“ Rej, który najmniej owemu klasycyzmowi hołdował, jest pisarzem nawskróś narodowym, lubo więcej prozaikiem, niż poetą. Kochanowski natomiast, celujący wytworną formą, może być nazwany ojcem poezyi polskiej. Nie dorównali mu Klonowicz, Miaskowski i Grochowski. Pierwszy mieszczanin, ostro karcił szlachtę, drudzy zaś, jezuitom oddani, w nienawiści mieli protestantyzm. Szymon Szymonowicz Bendoński pod względem formy i wytworności języka przewyższa nawet Kochanowskiego. Mniej wybitnymi są dwaj bracia Zimorowicze, Jan Bartłomiej i Szymon. Romantykiem może być nazwany zawcześnie zmarły, pełen tęsknej zadumy Mikołaj Sęp Szarzyński. Nie tak utalentowani, jak Szarzyński, byli Andrzej i Piotr Zbylitowscy. Tutaj autor wymienia cały szereg pomniejszych wierszopisów. Następnie skreśliwszy wizerunki dwóch najcelniejszych poetów łacińsko-polskich: Klemensa Janickiego i Macieja Kazimierza Sarbiewskiego, wspomina także o innych łacińskich, tj. o Pawle z Krosna, Janie z Wiślicy, Jędrzeju Krzyckim i Janie Dantyszku (Gdańszczaninie), biskupie warmińskim. Dziejopisarstwo z XVI w. nader barwnie opisane. Piękną jest sylwetka Andrzeja Frycza Modrzewskiego, którego dzieło *De Republice emendanda* zaszczyt narodu naszego stanowi. W działalności Stanisława Orzechowskiego zwraca p. N. uwagę, że zajadłość tego pisarza przeciwko protestantyzmowi była nieszczerą, bo miała pobudkę w przypodobaniu się Rzymowi, który w sprawie małżeństwa księdza Stanisława nie ogłosił w swoim czasie stanowczej decyzyi. Krzysztof Warszewicki, stronnik absolutyzmu, szukający w nim ratunku wobec powszechnego rozprzężenia oligarchii, nawoływał do wojny z Turkami, ujawniając sympatyę swoją do Habsburgów. Autor szerzej mówi o Skardze i Fabianie Birkowskim. Może zamało miejsca poświęcił Grzegorzowi z Żarnowca, a innych kaznodziejów protestanckich zupełnie pominął. Pobieżnie także traktuje Stanisława Zaborowskiego, Jana Seklucyana, Piotra Startoryusza Stojeńskiego i Knapskiego, którzy w dziejach języka polskiego tak wybitne położyli zasługi. Na tem kończy się w tej pierwszej połowie praca p. N.—P. Kazimierz Król pisząc o okresie jezuickim, mówi: „Pod względem ogólnej ilości dzieł napisanych nie można wprawdzie literatury ówczesnej nazwać ubogą; ale składają się na nią w znacznej części rzeczy drobniejsze, nieposiadające trwalszej wartości.“ Charakterystyka ta jest bardzo trafna. Było to wynikiem ówczesnego rozkładu państwowo-społecznego. Szkoły jezuickie tępiły smak i wdrażały umysły młodzieży do fanatyzmu i kastowości, tak szkodliwej w skutkach i dziś jeszcze niewytępionej. Jałowość treści i pochwalne na klejnot szlachecki panegiryki wypełniają ówczesną literaturę. Autor dosyć szczegółowo skreślił nam wizerunek Samuela ze Skrzypny Twardowskiego. Rozbiór „Wojny chocimskiej“ Wacława Potockiego napisany barwnie. Inni pisarze tej epoki i Stanisławowskiej przedstawieni wyraźnie i jasno. Wogóle książka pp. K. i N. jest gruntowną i pożyteczną.

J. F. Gajsler.



LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Maryan Jasieńczyk: *W Wielgiem.* Powieść współczesna. Petersburg. Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego. Rok 1898, str. 512.

Maryan Jasieńczyk nie należy do autorów, naprzykrzających się utworami swoimi czytelnikom. Zdobywszy sobie zaszczytne miejsce w naszej niebogatej literaturze dramatycznej, dzięki odznaczonej przed laty na jednym z konkursów „Lonie,“ cieszącej się dotąd powodzeniem w teatrze, wydał jednocześnie prawie niewielki zbiorek ładnych nowel i szkiców p. t. „Drobiazgów garść,“ gdzie poetyckie zamiłowania autora ścierają się i walczą chwilami z dążnością do realistycznego traktowania objawów życia. Zamilkł następnie na czas długi, wprzągłszy się do kieratu zabójczej dla mniejszych talentów pracy dziennikarskiej, i tylko od czasu do czasu, w gwiazdkowych lub noworocznych numerach pism codziennych, spotykaliśmy się z jakimś jego ulotnym wierszem lub obrazkiem. Świeżo dopiero, ze Szwajcaryi już, gdzie od lat paru przebywa, wystąpił z obszerną powieścią współczesną, dedykowaną rodzinnej wiosce i będącą niejako wyrazem tych oddalonych cch i wspomnień, które, jak ptaki w klatce, trzepotały się długo w jego duszy, zanim je wreszcie wcielił w kształty artystyczne i wypuścił w świat, między ludzi.

Jeszcze podczas druku nowego utworu Jasieńczyka w *Bibliotece Warszawskiej*, słyszeć się dawały głosy, przyznające powieści „W Wielgiem“ duże zalety literackie, lub nawet nazywające ją wprost pierwszym u nas tak wielostronnymi prawdziwym obrazem duszy chłopskiej, odmalowanej na szerokiem i barwnem tle życia wiejskiego. pierwszą powieścią ludową w całem tego słowa znaczeniu. Zbytecznem byłoby wykazywać, ile w tych głosach przesady. Dosyć wymienić nazwiska takie, jak Kraszewskiego, Jeża, Zacharyasiewicza, Sewera, Prusa, Sienkiewicza, Orzeszkowej, Junoszy, Dygasińskiego, że poprzestaniemy tu tylko na najwybitniejszych pisarzach, którzy w belletrystyce naszej malowali lub malują lud wiejski.

Prawda, że dawniejsi autorowie lubili idealizować chłopa, że wielu z młodszych, stanąwszy nawet na gruncie realnym, zaprawiło swe powieści ludowe sporą dozą tendencyjności, nie mogąc czy nie chcąc wznieść się na wyżyny zupełnego objektywizmu w stosunku do sielmiężnych mieszkańców chat, nie mniej jednak wątpliwości nie ulega, że takie tytuły, jak „Placówka“ Prusa, „Niziny“ Orzeszkowej, „Klemens Boruta“ Okońskiego, „Szkice węglem“ i „Bartek zwycięzca“ Sienkiewicza, „Dla świętej ziemi“ i inne Sewera przebudzić powinny tych wszystkich, którzy zapomnieli chwilowo o powieści ludowej przed Jasieńczykiem.

Lecz mimo zastrzeżenia powyższego, przyznać należy, że nowa książka autora „Leny“ jest dziełem ciekawem, bogatem w treść i w wyborne postaci i sylwetki ludowe, w postaci chłopów, urodzonych i wychowanych na wsi, prawdziwej wsi mazowieckiej, a nie w wyobraźni powieściopisarskiej jedynie, że jest wogóle dziełem, zarówno ze względu na swą zawartość, jak i na niezwykle staranną, chociaż nie zawsze szczęśliwą formę, zasługującem na bliższą uwagę i wyróżnienie.

W krótkim prologu, niby w uwerturze opery, w zarysach najogólniejszych zapoznaje nas autor z głównymi motywami utworu i, odsłaniając zręcznie rąbek wątku powieściowego, pozwala nam na jedno mgnienie oka zajrzeć do duszy aktorów przyszłego dramatu i domyśleć się, między kim i o co przed oczyma naszemi niebawem rozgrywać się on zacznie. Prolog ten, wyglądający, jak wyrwana z całości kartka, był bardzo dobrym pomysłem, a napisany barwnie i zajmująco, zachęca czytelnika odrazu do zawarcia bliższego stosunku z pokaźnej grubości książką.

Nad treścią jej, naturalnie, zatrzymywać się szczegółowo nie będziemy. Jest ona jednak ze względu na odtwarzaną sferę dosyć niezwykła i nie przypomina żadnej ze znanych nam powieści ludowych. Rzecz obraca się z jednej strony około uczucia miłości, które w poważnym i zamożnym gospodarzu wiejskim, pięćdziesięciolatnim blizko wdowcu, Jakóbie Musiale, wzbudzić zdołała piękna, powabna a przewrotna pokojówka dworska, Magdzia — z drugiej — około współzawodnictwa między tą Magdzią właśnie, a starą matką Jakóba, znakomitą w każdym szczególe Franciszkową, w której doświadczonych oczach małżeństwo syna z „latawcem i wycirusem,“ jak tytułowała stale gajowiankę, było od pierwszej chwili przewidywaną słusznie klęską dla całego bytu rodziny.

Współzawodnictwo to właśnie tu walka między dwiema kobietami, przedstawicielkami dwóch odrębnych światów, w większym daleko stopniu, niż sama psychologia miłości, zośrodkowuje na sobie uwagę czytelnika i jest główną osią powieści. To też ze śmiercią Franciszkowej, kończącą drugą część utworu, napięcie dramatyczne słabnie, dalsze rozdziały, odgrywające niejako rolę epilogu, nie budzą już żywszego zajęcia, i powieść, jako całość, zyskałaby niewątpliwie, gdyby w tem miejscu zakończona została. Gdy zabrakło starej Musiałowej, która, jak żołnierz na wyłomie, padła w obronie całości domowego ogniska, w obronie uświęconych przez tradycyę ideałów i pojęć, a zwłaszcza nietykalności zakopanej w stodole „krwawicy,“ owocu długoletniej, prawdziwie chłopskiej oszczędności, ciągnącej się przez kilka pokoleń, odmawiających sobie wszystkiego, aby tylko co rok odłożyć do żeleźniaka po kilka lub kilkanaście sztuk srebra — łatwo już domyśleć się czytelnikowi, że ostateczne

zwycięztwo przechyli się na stronę „latawca i wycirusa“ — Magdzi, która, zawładnąwszy „krwawicą,“ nie zechce długo popasać w mężowskim, niewesołym domu.

Ta wyborna postać starej wieśniaczki, walczącej do ostatka z nienawistną jej falą nowych prądów, fałszu, obłudy i kosztownych zachcianek, wpuszczoną do zagrody przez synową i zalewającą powoli wszystko, co Franciszkowa przed nią ochronić pragnęła, ma w sobie coś z posągowych rysów purytanek szkockich Walter Scotta i jest prawdziwą ozdobą powieści. Niepodobna np. zapomnieć tej sceny, gdy schorowana już i gorączką trawiona staruszka brnie w noc zimową do zawalonej śniegiem stodoły, aby się przekonać naocznie, iż rzeczywiście „tamta“ dostała się już do kryjówki, zabrała i zmarnowała poświęconego dukata z Matką Boską, który przez lat trzydzieści, „abo i więcej,“ przeleżał w żeleźniaku na samym wierzchu, strzegąc i przymnażając krwawicy.

„Myśl ta cięła ją biczem; do drzwi rzuciła się wchodowych, ale wichura dęła, jak wściekła, i nijak jedną nie mogła otworzyć ręką. Latarkę postawiła w kącie za ścianą, aby jej wiatr nie zgasił i co sił stało o drzwi się sparła. Skrzypnęły wreszcie, śnieg bryznął w oczy i omal że jej fala nie powaliła na ziemię. Ale się zmogła, latarkę pod zapaśnikiem ukryła, i o ścianę utykając chałupy, ruszyła śmiało.

Popod obórką warknął ci na nią Kruczek, snać poznał jednak, bo i wnet przycichł. Zatrzymała się chwilę, snu Wiekowego niepewna, i znowu ruszyła naprzód.

Szła dalej, po kostki brnąc w miękim śniego, falą o plot rzucana, jak nieprzytomna, z jedną już tylko myślą pod czaszką, z jedynem w piersiach pragnieniem: tam do stodoły dobić się, garnka, dukata zobaczyć swego...

I tyle jeszcze mocy znalazła w sobie, że ciężkie uchyliła wrota stodoły, że z niezgaszonem u celu stanęła światłem; gdy jednak w górze, na belce ustawiwszy latarkę, do zasypanej słomą pochyliła się kryjówki, w oczach jej płatki ognia migotać jęły, jak gwiazdy, w głowie się niby wichru ozwało wycie, kaszel chrapliwy z piersi uderzył i z jękiem:

— O Jezu! Jezu!... osunęła się na klepisko.“

Dobrą antytezą Franciszkowej jest „galanta niewiasta“ Jakóba, na jarmarku przezeń zmówiona Magdzia. Córka gajowego dworskiego, prawdziwego obieżyświata Nowotnika, człowieka, nie hołdującego zbyt surowym zasadom moralnym, zepsuta do szpiku kości służbą kilkoletnią po dworach w charakterze pokojówki, wiecznego przedmiotu umizgów ze strony golowąsych „paniczów“ i łysogłowych ojców rodziny, składających u jej stóp — pierwsi uczuć kwiecie, a drudzy — kieszeni zasoby, ma ona jeden tylko cel w życiu — osobiste szczęście i użycie i dla dopięcia go nie przebiera bynajmniej w środkach. Chcąc sobie zapewnić byt dostatni bez troski i ułatwić stosunek miłosny z młodym stangretem, Jaśkiem, w części z własnego popędu, w części z namowy kochanka, uważającego, że przy takim mężu, jak Jakób, „to i drugiemu byłoby dobrze.“ decyduje się wyjść za dwa razy starszego, ale bogatego i hojnego Musiała, którego zresztą ani na chwilę nie przestaje oszukiwać w różny sposób, póki wreszcie, po wielokrotnej zmianie kochanków, domu jego nie opuściła na zawsze, przeniósłszy się na stałe mieszkanie wraz z powierzoną jej opiece „krwawicą“ do upatrzonego oddawna dzierżawcy z Jasieńca.

Między temi dwiema postaciami, starą, despotyczną nieco i surową, ale dobrą z gruntu świekrą i „galantą“ a przewrotną synową, rozgrywa się dramat cały, pełen doskonale obmyślanych scen i prosto z życia przeniesionych do książki epizodów. Sam Musiała jest wprawdzie również dobrą zupełnie postacią, chłopem z krwi i kości, z pojęć, usposobienia i uczuć, malowanym z dużym rozmachem i plastyką, lecz skazany przez autora na bierną dosyć rolę w większej części powieści, mniej zaciekawia od dwóch głównych postaci kobiecych i prędzej się zaciera w pamięci.

W szeregu dobrych figur drugorzędnych, oprócz wprowadzonej epizodycznie a traktowanej z humorem sylwetki warszawiaka, pana Karola, zasługują na wyróżnienie wiecznie potrzebujący pieniędzy ojciec Magdusi, gajowy Nowotnik, osłaniający córkę swą powagą i opieką w trudniejszych chwilach życia, oraz plotkarka i intrygantka wiejska, Kajtaniakowa, postać pysznie pochwycona z rzeczywistości.

Lecz obok dobrej charakterystyki prawie wszystkich postaci i pewnego zindywidualizowania każdej z nich, dzięki któremu figury wszystkie żyją w powieści Jasieńczyka całą pełnią różnostronnych sił swego ducha, nie grając wyłącznie roli suchych formułek społecznych lub ilustracyi do powziętej z góry tendencyi, w książce tej uderza jeszcze rys jeden. W powieści całej zauważyć można coś, co w krótkim artykule sprawozdawczym bliżej określić i pokazać trudno, co jednak nadaje jej pewną odrębną i oryginalną cechę, wyróżniającą ten utwór wśród całego szeregu powieści ludowych innych autorów. Jest to jakby wyprowadzony z ukrycia duch eposu ludowego, w którego tony uderza autor od początku, przez co opowiadanie jego wywiera chwilami wrażenie jakiejś Odyssei ludowej naszych czasów, a drobiazgowość niektórych opisów, zgodna zresztą wogóle z duchem współczesnej powieści realistycznej, potęguje jeszcze to uczucie.

Niekiedy, co prawda, jakby dla kontrastu, nakreśli autor jakiś nowoczesny zupełnie, impresyonistyczny trochę, a ładny bardzo obrazek, dostrajający się jednak dobrze do całości:

„Urokiem nocy tej zdjęta, wpatrzona w niebo, w chór żab i słowików wsłuchana, zapachy w siebie chłonąc majowe, stała Magdzia, od stóp do głowy bladem zlana światłem miesiąca, białą plamą na ciemnem tle tarni widna, o bożym zapominając świecie, srebrna, nieruchoma. Żal jakiś i tęsknota chwyciły ją tu kleszczami, pierś podnosiła się i opadała, jakby tam w niej targało się co i burzyło; łkanie gwałtem zbierało do kurczem zaciśniętej krtani i dwie łzy, te, które już dawno w oczach nosiła, jak grochy wielkie, spłynęły jej po twarzy, ciężko spadając na blaskiem księżyca nasiąknięte jakóbowe bursztyny.“

Chcąc jednak zachować wszędzie zaznaczony wyżej ton eposu ludowego, dochodzi autor niekiedy do przesady, odbijającej się niemile w nienaturalnym szyku wyrazów, mającym zapewne naśladować styl ludowy, lecz w gruncie rzeczy dalekim dosyć od niego. „Aż go od tego zimny dreszcz przeszedł spojrzenia“ — czytamy np. na str. 40. „Obręcz ta—mówi autor w innem miejscu (str. 421) — cały niemal otaczała kopiec, niewielką jeno wolną pomiędzy pierwszą zostawiając przestrzeń parą a końcowemi.“ Zwrotów podobnych możnaby z książki przepisać mnóstwo, a liczba ich wzrasta ku końcowi powieści, gdzie autor, podobnie jak w niektórych scenach „Leny,“ pisać wprost zaczyna prozą rytmiczną, dobrą niekiedy w pojedynczem zdaniu, ale nieznośną dla ucha w dłuższych ustępach i niezgodną z duchem naszego języka, z duchem naszej prozy, z której i bez tego, chybionego zgoła efektu, umie p. Jasieńczyk wydobywać dużo wdzięku, o ile nie przeładuje jej ludowymi zwrotami w rodzaju: nikiej, nijak, duchem, cięgiem itp. Te ostatnie, dobre i naturalne w ustach postaci chłopskich lub przynajmniej przy oddawaniu ich myśli, dziwnemi wydać się muszą w ustępach, pochodzących bezpośrednio od wykształconego powieściopisarza, nieużywającego ich przecież w mowie potocznej.

Niezależnie jednak od usterek powyższych, wypływających w części ze zbytniego przejęcia się autora przedmiotem odtwarzanym, pierwszorzędne zalety powieści pozwalają nam zaliczyć „W Wielgiem“ Maryana Jasieńczyka do najlepszych utworów powieściowych ostatniej doby.

Władysław Bukowiński.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

TECHNOLOGIA. W wielce pożytecznej „Bibliotece przemysłowej,“ wydawanej nakładem H. Wawelberga, wyszły dwie książki: Z. Straszewicza: „Światło elektryczne, urządzenie i działanie instalacyj prywatnych o prądzie stałym“ (295 str., cena 1 r. 20 k.), oraz E. Wawrykiewicza. „Nauka rysunków, wskazówki praktyczne wykonywania rysunków technicznych“ (100 str. z tablicami — 75 k.).

PORĘCZNIKI. W. Weychertowna. „Stylistyka oraz teorya prozy i poezyi do użytku szkolnego“ (152 str.) Arct.

— Aniela Szyc: „Gramatyka języka polskiego dla dzieci zaczynających się uczyć systematycznie“ (210 str.). Arct.

— B. Brzozowski: „Książeczka dla tych, którzy chcą się nauczyć lepiej mówić i pisać po polsku“ (29 str. — 10 k.).

— K. Król i J. Nitowski: „Podręcznik do nauki literatury polskiej,“ połowa I (210 str.). Arct.

EKONOMIA. J. Stecki: „Zasady ogólne ekonomii społecznej“ — wydawnictwo popularne (209 s.). Gebethner i Wolff.

TEATR. Z. Przybylski: „Z rozwoju teatru polskiego — Antonina Hoffman“ (316 str.). Gebethner. Za mały przedmiot i za duża książka.

POEZYE. J. S. Wierzbicki: „O brzasku“ (252 s., cena 1 r. 50 kop.). Filipowicz—Dubowik w Mińsku gub.

OGRODNICTWO. K. Jakimionek rozpoczął wydawać „Podręczną biblioteczkę ogrodniczą.“ Pierwsza broszurka mówi o „Niepłodności drzew owocowych“ (55 str. — 25 k.) jasno i wyczerpująco. Może wreszcie nasza literatura ogrodnicza zejdzie ze sfery ogólników i projektów w dziedzinę zagadnień praktycznych.

POWIEŚCI. M. Corelli: „Księżna Ziska,“ przekład Z. Niewiadomskiej (213 str.). Gebethner i Wolff.

— W. Orkan: „Nowele“ (193 str.). Gebethner i Wolff.

— Kazimierz Gliński: „Wróci“ (353 str.). Gebethner i Wolff.

— S. Żeromski: „Utwory powieściowe,“ zbiór nowel (326 str.). Gebethner i Wolff.



NA KRÓLEWSKIEM JEZIORZE.

Po Królewskiem Jeziorze samotny płynąłem.
Łódka, pędzona wiosłem, chyżo naprzód biegła.
Wokół lasów i urwisk pustynia rozległa,
Pode mną bezdeń wody, granity nad czołem.

Czarna, bezdenna woda wiatrem kołysana
Dziko szemrze i jęczy. Skalne krzesanice
Wpadają w nią i toną, rwąc w odmęt źrenice,
Które odtrąca twarda, prostopadła ściana.

Dziwna, ponura czarność tej ogromnej wody,
A ponade mną, w bezmiar wyniesiona szczytem,
Góra śniegu, pochmurnym owiana błękitem,
Pochylona, olbrzymia—Bogu z nieba schody.

W wązkim, skalnym zakręcie łódź wstrzymuję—
[glusza...
Taka cisza, jak gdyby nie było istnienia...
Las, góry, woda, śniegi i bezbrzeż milczenia...
Czy to jezioro?.. Czy to moja własna dusza?..

Jestem-ż?! Czylim w otchłanie wpłynął własnej
[duszy?!
Jakie góry olbrzymie... Jaki las samotny ..
Jaka gra chmur i słońca w wyżynie zawrotnej...
A wszystko w jakiejż wielkiej pogrążone gluszy...

Dusza ludzka zjawiona w całej pełni swojej!
Nieznana mi, tajemna — patrzę się w podziwie!
Jaka ogromna! Jaka bezdenna straszliwie!
Jak w głąb się zlewa... W niebio jak wysoko stoi!..

Jestże to dusza moja? ludzka? w ludzkiem ciele?
Tyle załomów, kotlin, szczytów? przestrzeń taka?!
Jestże to dusza ludzka, z tą duszą jednaka,
Która się mieści w domu, w rynku i w kościele?!

O nie! Oto zjawisko cudowne, olbrzymie!
Potworne swą wielkością, straszliwe swą siłą!
Tysiąc wieków ją z warstew tysiąca tworzyło!
To dusza ludzka? ludzka? Te turnie w chmur
[dymie?

Ha! Ozwijże się głosem godnym swojej mocy
Duszo ludzka, ty dumna, ty wielka, ty górna!
Otwarta... słońcu; cicha... jak popiołów urna,
Wielka... jak świat; tajemna... jak las o północy...

Staję przed tobą, jako przed olbrzymim tomem,
W który lękam się wstąpić — zginę tam, prze-
[padnę ..
Mózg mój wstecz się potoczył, zmysły me bez-
[władne...
Milcz, na Boga! Zabiłabyś słów swoich szumem!

Jeden On z tobą może mówić, słuchać ciebie,
O duszo ludzka, w prawdzie i w jawie widziana...
Za wielkaś! Otchłań w tobie, otchłań nieprzej-
[rzana,
Mieszcząca wszystko, co jest na ziemi i w niebie.

K. Przerwa-Tetmajer.

Z Alp, w maju 1898.

W DALI.

Łódź. Zorganizowano w Łodzi widowiska ludowe. W miejscowości zwanej „Księżym młynem," istnieje w ogrodzie fabrycznym budynek, zawierający salę teatralną i balową, w którym właśnie odbyło się pierwsze przedstawienie. Grano dwie sztuki: „Majster i czeladnik" Korzeniowskiego, oraz jednoaktówkę J. Moinaux p. t. „Dwóch głuchych." Oto co pisze sprawozdawca *Wieku*: „Przedstawienie, rozpoczęte o godz. 3 po południu, ściągnęło takie mnóstwo widzów, że dość obszerna sala zaledwie pomieścić ich zdołała. Sześćset osób, płacących za miejsca po 30, 25, 20, 15 i 10 kop., bawiło się tak, jak rzadko w wielkich i drogich teatrach publiczność się bawi. A nie można dziwić się temu, jeżeli weźmie się na uwagę zarówno dobór sztuk, jak i udział najlepszych sił łódzkiego personelu teatralnego z pp.: Winklerem, Trapszą, Mielnickim, Staszkowskim i paniami Trapszową i Kiernicką na czele. Podziwiać można było zachowanie się tej rozbawionej a nienawykłej do widowisk teatralnych publiczności. Ani jednego niewłaściwego odezwania się, ani jednego nie w miejscu śmiechu, ani śladu zamieszania lub wybryku gburowatości. Co więcej, ku prawdziwemu naiwnemu — przyp red. *Prawdy*) zdumieniu zauważyliśmy, że przez cały czas przedstawienia nikt nie przerwał oklaskiem ciągu akcyi, mimo częstych bardzo komicznych i pobudzających do entuzyastycznych wybuchów sytuacyj, pozostawiając wyrażenie swego zadowolenia do chwili, gdy kurtyna opadła po skończeniu aktu lub sztuki. Pomimo tłoku i nieuniknionego gorąca, pomimo trwania przedstawienia przez 2 godziny i 3 kwadranse, nikt, ale to literalnie nikt nie opuścił widowni przed wypowiedzeniem ostatniego słowa na scenie. Dość oryginalną jeszcze zauważyliśmy okoliczność. Oto połowa prawie publiczności, rozumiejąca widocznie po polsku, gdyż inaczej na przedstawienie polskie wcaleby się nie zjawiła, rozmawiała z sobą... po niemiecku, a nawet wielu widzów nie mogło porozumieć się przy kasie po polsku."

Petersburg. Z powodu nominacyi gen. Bobrikowa na generał-gubernatora finlandzkiego, prasa rosyjska zaczęła szeroko pisać o Finlandyi, jej stosunkach wewnętrznych, bycie i urządzeniach, wreszcie o stanowisku politycznem. Między innemi *Now. Wr.* pisze: „Wobec tego, że Finlandya stoi zdala od ogólno państwowych interesów rosyjskich, nowemu generał-gubernatorowi nastręcza się szerokie pole działania. Pierwsze miejsce śród reform musi naturalnie zająć przekształcenie sekretaryatu stanu, instytucyi, której podstawy podlegały już tylu zmianom i uzupełnieniom, że niezależnie od swego ogólnego przestarzenia, utraciła charakter swój, w którym mogła utrzymać się między rosyjskiemi instytucyami państwowemi i miała prawo bytu. Pewna co do tego wskazówka znajduje się już w Najwyższym reskrypcie do gen.-adj. Bobrikowa, w którym poleca mu się: „O swej nominacyi na generał-gubernatora zawiadomi pan Nasz senat finlandzki, aby podał to wiadomości publicznej i poczynił inne stosowne zarządzenia." Na pierwszy plan występuje też niewątpliwie kwestya co do samego senatu, gdzie zaprowadzenie państwowego języka rosyjskiego jest rzeczą tak niezbędną w celu umożliwienia generał-gubernatorowi faktycznego przewodnictwa w najwyższej tej dekasteryi administracyjnej Finlandyi. Nadzwyczaj ważną kwestyę „armii fińskiej" postawiono już na porządku dziennym w sposób jak najbardziej stanowczy, jak się to okazuje z Najwyższego orędzia o zwołaniu sejmu nadzwyczajnego na d. 7 stycznia 1899 r. w celu pogodzenia ustawy finlandzkiej o powinności wojskowej z zasadami obowiązującemi pod tym względem w państwie."



Wiadomości społeczne. Komisya specyalna pracuje nad ułożeniem przepisów o powszechnem [illegible]łem państwie święceniu niedzieli.

— Ogłoszono uzupełniający przepis fabryczny, że robotnicy małoletni bez obecności starszych nie mogą być dopuszczani do robót i nie mogą się znajdować w tych oddziałach zakładów przemysłowych, gdzie są maszyny, przyrządy lub aparaty niebezpieczne, wprowadzane w ruch siłą mechaniczną.

Szkoły. D. 15 b. m. otwarto politechnikę warszawską.

— Szkoły żydowskie t. zw. „talmud-tory," mają być przekształcone na zwykłe szkoły początkowe, w których będzie także wykładany język żydowski.

— W Szawlach otwarto gimnazyum żeńskie.

— Z powodu otwarcia wydziału prawnego w uniwersytecie tomskim, ministeryum oświaty zaleciło zwierzchności zachodnio-syberyjskiej okręgu naukowego ogłosić, że rozpoczyna się przyjmowanie próśb od osób, pragnących wstąpić na ten wydział; przyczem do grona studentów pozwolono przyjmować młodzieńców, którzy ukończyli w I-ej kategoryi kurs seminaryów duchownych, bez poddania ich w r. b. przepisanemu dla wychowańców seminaryów egzaminowi sprawdzającemu. Wykłady zamierzono rozpocząć d. 27 października r. b.

— Zatwierdzono zapis Antoniego Gałczyńskiego (z d. 13 lutego 1875), który przeznaczył 5% dochodu z majątku na rzecz funduszu stypendyalnego dla dzieci służby folwarków: Kuchary Kościelne, Franki i Kanarki, kształcących się w zakładach rolniczych, ogrodniczych, pszczelniczych, rybnych, lub wreszcie rzemieślniczych, mających łączność z gospodarstwem rolnem.

— Etat dla nauczycieli w świeżo otwartej łódzkiej szkole handlowej, jak donosi *Rozwój*, pozwala na wynagradzanie lepsze za pracę, aniżeli to się dzieje w zakładach rządowych. Gdy bowiem w tych ostatnich norma za 15 godzin tygodniowo wynosi 750 rb., w szkole handlowej nauczyciele pobierać będą 900 rb. za 12 godzin. Ponieważ przytem rada postanowiła w takim samym stosunku płacić za godziny nadetatowe, więc nauczyciel szkoły handlowej łódzkiej będzie mógł przeciętnie zarabiać około 1,500 rb. rocznie. Na wzór szkół niemieckich lekcye nie będą prowadzone w jednym ciągu, ale trwać mają od godz. 9—12 i od 2—4, co daje uczniowi możność dwugodzinnego odpoczynku. *Rozwój* donosi również, że dyrektor, p. Garszyn, przedewszystkiem pragnie tak poprowadzić wykłady, ażeby dziecko jak najmniej musiało uczyć się w domu i było dostatecznie przygotowywane w szkole.

Sądy. W tych dniach przed sądem stanęła potworna kobieta, Maryanna Brzeszczakowa, która przyjmowała niemowlęta „na garnuszek," mordowała je i paliła w piecu. D. 14 b. m. wydano wyrok, skazujący zbrodniarkę na pozbawienie wszystkich praw stanu, oddanie do ciężkich robót na lat 15, a następnie na dożywotnie osiedlenie w Syberyi.

Koleje i komunikacye. Z chwilą zaprowadzenia zimowego rozkładu jazdy kursować będzie raz na tydzień między Petersburgiem a Niceą przez Warszawę i Wiedeń pociąg błyskawiczny, złożony z wagonów sypialnych wyłącznie kl. I i wagonów restauracyjnego i salonowego. Z Wiednia pociąg ten będzie wyprawiany do Włoch z dworca Południowej kolei austryackiej przez Leoben-Pontebbę. Na ten pociąg sprzedawane będą bilety do Medyolanu, Genui, San Remo, Bordighery, Ventimigli, Mentony, Monte Carlo, Monaco, Beaulieu, Nicei i Cannes tylko w Petersburgu, Dźwińsku, Wilnie, Warszawie, Granicy, Oderbergu i Wiedniu. Nadto zaopatrzone będą w bilety kl. I i II, służące na przejazd zwykłymi pociągami pospiesznymi do wyżej wzmiankowanych stacyj włoskich i francuskich, a także do Florencyi, Rzymu, Neapolu i Brindisi stacye: Moskwa, Petersburg, Warszawa, Brody, Podwołoczyska, Kraków, Granica, Oderberg. Pociągami pospiesznymi będą przewożone do Królestwa i Cesarstwa z Włoch i południowej Francyi kwiaty. Opłata będzie o połowę wyższa od pobieranej za bagaż, przesyłany pomienionymi pociągami pospiesznymi.

— Pomiędzy Petersburgiem, Moskwą a Syberyą kursują od kilku miesięcy dwa specyalne pociągi osobowe, odpowiednio urządzone do długiej podróży. Jeden ma dochodzić do samej Warszawy, w celu ułatwienia komunikacyi z Syberyą nietylko Królestwu, lecz dla wygody cudzoziemców, przybywających do naszego miasta koleją Wiedeńską. Ponieważ dwa pociągi specyalne komunikacyi bezpośredniej są niedostateczne, zwłaszcza z chwilą otwarcia nowych dystansów kolei Syberyjskiej, więc wypracowano projekt następujący: W ciągu lat dwu, gdy otwarty już będzie ruch prawidłowy do Irkucka, jak również wykończony dystans zabajkalski do połączenia z koleją Mandżurską, tabor pociągów osobowych specyalnych będzie powiększony w ten sposób, aby co tydzień mogły odchodzić z Petersburga, Warszawy oraz z Moskwy oddzielnie. W miarę przedłużania kolei Syberyjskiej i Mandżurskiej pociągi te przebiegać mają całkowitą przestrzeń, tak iż za lat pięć zaprowadzona będzie bezpośrednia komunikacya: Warszawa—Władywostok, lub Warszawa—Port-Artur, jak również Petersburg—Władywostok i Petersburg—Port-Artur oraz odwrotnie. Pociągi te składać się będą z wagonów trzech klas. (*Kur. Warsz.*).

Przemysł i handel. Ustawa giełdy łódzkiej uzyskała zatwierdzenie. Czynnych będzie dwudziestu maklerów, z których dwie trzecie, a w tej liczbie starszy makler muszą być wyznań chrześciańskich. Prezesem komitetu, jak również dwie trzecie członków komitetu giełdowego, winni być także chrześcianami.

— Jarmark na nasiona urządzany będzie w Warszawie w magazynach Banku państwa przy ul. Nowogrodzkiej. Zarządzający tymże bankiem zawiadomił magistrat tutejszy, iż zgadza się na coroczne urządzanie pomienionego jarmarku w dwóch terminach, tj. w lutym i w listopadzie. W tym celu kantor Banku oddaje magistratowi jeden ze swoich budynków na kilka lat bezpłatnie; wszelkie zaś wydatki na urządzenie jarmarku, jak również i odpowiedzialność za nagromadzone produkty, obciążyć

mają magistrat, któremu przyznaje się prawo pobierania na swoją korzyść opłaty za bilety wejścia. Próby nasion, przeznaczonych na wystawę, mają być oddawane do magazynu na 8 dni przed jarmarkiem i również po 8 dniach od chwili zamknięcia mają być odebrane. Przechowywanie całych partyj nasion w magazynie kantoru dopuszcza się tylko w czasie od 13 listopada do 13 maja, za pobieraniem opłaty składowej.

Zmarli. Stefan Mallarme, w Hericy, poeta francuski.

— Aleksander Walewski, konsul generalny francuski w Neapolu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Żądania i pieniądze otrzymane na portret Miczkiewicza przesłaliśmy wydawcy, który nas zawiadomił, że egzemplarze są chwilowo wyczerpane, wkrótce jednakże będą odbite.

Ad. Z. My żadnych zajęć tego rodzaju w redakcyi nie mamy.

A. M. E. Nie zamieścimy. Rękopis pozostawiamy do zwrotu.

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

*które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach **Prawdy**, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko dwa ruble bez przesyłki.*

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 4 Сентября 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8